

Stefan Filemon Osuchowski

Tam polskie próchnieją kości... Wspomnienia z Syberii Stefana Osuchowskiego, zesłańca politycznego Część 2

16. Św. Innocenty. Falszerze monet

Spośród wielkiej ilości świętych prawosławnych, niejednokrotnie o trudnych do wymówienia imionach, jak Pantelejmon, Epifan, Froł, tylko jeden za życia był Sybirakiem, a mianowicie św. Innocenty. Z pochodzenia był wprawdzie Polakiem, ale wiele lat swego życia spędził na Syberii.

Nazywał się Kulczycki. W młodości wstąpił do zakonu jezuitów w Połocku. Otrzymawszy święcenia, udał się, jako misjonarz na Syberię nad Bajkał, między półdzikich Burjatów. Za cel swojej misji postawił krzewienie, przede wszystkim, kultury chrześcijańskiej. Prowadził ascetyczny tryb życia, pracował bez wytchnienia, pomagał gdzie i komu mógł, leczył chorych, dawał rady. Na setki wiorst wzdłuż i wszerz zasłynął jako uzdrowiacz, zaklinacz i wywoływacz pogody, mędrzec i czarodziej, jednym słowem – jako niezwykley do broczyńca, mąż opatrnościowy.

Kraj Zabajkalski był w owe czasy słabo zaludniony, a pod względem politycznym faktycznie nie należał do żadnego z mocarstw – ani do Chin, ani do Rosji. Nikt się tym krajem nie interesował, jak gdyby był położony poza granicami świata. W oddalonym o siedem tysięcy wiorst Petersburgu, jak również w dalekim Pekinie może nawet nie przypuszczano, że tam ludzie żyją. Miejscowe jednak władze

w Irkucku dowiedziały się o istnieniu niezwykłego misjonarza. Nie mogąc dopuścić, aby pod ich bokiem powstała oaza katolicyzmu, zaproponowały naszemu misjonarzowi swą opiekę i pomoc w nawracaniu tubylców oraz mianowanie go biskupem, o ile będzie krzewił prawosławie. Na to zgodził się ojciec jezuita. Przyjął prawosławie, został biskupem irkuckim, a po śmierci był kanonizowany, jako św. Innocenty. Ciało jego zostało wystawione na widok publiczny, przy czym twarz i ręce były odkryte. Ciało się nie psuło: jak za życia o. Innocenty był suchy, kościsty, takim pozostał i po śmierci w ciągu paru stuleci. Wierni z bliskich okolic, jak również z najdalszych zakątków Syberii dążyli do Irkucka, aby ucałować rękę św. Innocentego¹. Po jakimś czasie dla zabezpieczenia przed zupełnym zniszczeniem z powodu częstego dotykania ustami przez nabożnych, przykryto rękę i twarz świętego taflą szklaną. Odtąd całowano szybę. Pielgrzymki odbywały się ciągle, latem i zimą, aż do nastania rządów bolszewickich.

Znajomy mój dozorca drogowy, pan Andrzej – nazwiska nie pamiętam – spotkał razu pewnego na plancie kolejowym starego dziada z węzełkiem na plecach.

– Dobry wieczór!

– Dobry wieczór! A dokąd to, ojcze, Bóg prowadzi?

– Do Irkucka. Ucałować prochy św. Innocentego.

Dziad miał około siedemdziesięciu lat, do Irkucka – półtora tysiąca wiorst!

– Ojcze! – powiada zaintrygowany pan Andrzej – do wieczora już niedaleko, nie zdążysz dojść przed nocą do najbliższej wsi, a w polu nocować zimno. Chodź ze mną, przenocuję cię w baraku robotniczym, nakarmię, a jutro po śniadaniu pójdziesz do celu pielgrzymki.

Dziad chętnie przystał.

Nazajutrz rano, korzystając z chwili, gdy pan Andrzej stał na uboczku z dala od robotników, dziad dziękuje mu za gościnę:

¹ Po rosyjsku mówiono *prilożytsja nietlennym moszczam swiatoho inokentja*, co dosłownie znaczy „przyłgnąć do nie rozkładających się prochów św. Innocentego”. Po zajęciu Irkucka w 1920 r. bolszewicy przeprowadzili skrupulatne dochodzenia, czy ciało św. Innocentego jest autentyczne, czy nie zostało przez popów zamienione lub czy w trumnie nie spoczywa tylko manekin. Okazało się jednak, że trup był autentyczny, a tak długie zachowanie się jego w nie zmienionym stanie objaśniono ascetycznym życiem zmarłego oraz suchym klimatem syberyjskim.

Właściwie po rosyjsku: św. Innokentij, a po polsku: św. Innocenty – przyp. red.

– Dziwiliście się zapewne, gdym wam wczoraj przy powitaniu powiedział, że idę do Irkucka; wzięliście mnie zapewne za wariata, a co najmniej za dziwaka. Przyznaję, że jestem oryginał, ale jeszcze resztek rozumu nie postradałem. Ponieważ naród tutejszy jest nieznośnie ciekawy i lubi się wypytywać o rzeczy i sprawy, to staram się na wszelkie zbyteczne pytania dawać stereotypowe odpowiedzi. I tak, jeśli kto pyta, dokąd idę, to odpowiadam, że do Irkucka, jeśli idę na wschód, a – do Kijowa z pielgrzymką do świętej Ławry, gdy idę w stronę zachodnią. Dawno już jestem na Syberii, a zżyć się ze zwyczajami nie mogę. Nie zawsze byłem żebrakiem. Zesłany zostałem za fałszowanie monet srebrnych. Czuję do was duże zaufanie, wnioskuje z akcentu, że jesteście nietutejszy i zdaje się nie Rosjanin. Ugościliście mnie, nakarmili. Chciałbym wam okazać swą wdzięczność. Jeśli chcecie, to narobię wam pieniędzy. Niczego za to nie żądam, żadnej zapłaty, dacie mi tylko strawę i nocleg, a do fabrykacji – stary saganek i odpowiednią ilość niedrogiego stopu. Narobię wam pieniędzy ile każecie: tysiąc rubli, to tysiąc, a dziesięć tysięcy, to także dobrze. Nikt nie pozna, jestem mistrzem w swoim fachu. Nikt też nie zobaczy; tutaj w polu, z dala od osiedli na taką fabrykę miejsce najlepsze, a robić będę po odejściu robotników na linię. Namyślcie się! Możecie zostać człowiekiem bogatym.

Rozmowę przerwało zbliżenie się któregoś z robotników. Andrzej poszedł na linię do roboty, dziad pozostał w baraku.

Szcześnie się do pana Andrzeja uśmiechało...

Tyle lat pracował i w Polsce, i na Syberii, siły sterał, a na zabezpieczenie starości nie uciulał ani grosza. Dorobek całego życia jego stanowi para koni i dwie krowiny. Gdyby tak kupić jeszcze ze trzy konie i tyleż krów, wozy i narzędzia rolnicze, można by założyć gospodarke. Chłopi syberyjscy mają dużo ziemi, obrobić wszystkiej nie są w stanie, za parę wiader wódki dadzą tyle gruntu, ile się zapragnie. Właśnie w bliskości linii kolejowej, gdzie pan Andrzej pracuje, jest duży obszar nie zajęty, od wielu lat nie orany. Porosły już brzoźki. Wykarczować nietrudno.

Gdyby narobić pieniędzy, można szybko dojść do dostatku. Dużo panu Andrzejowi nie potrzeba, tysiąc rubli by starczyło. Zresztą większą ilość trudno będzie puścić w obieg, mogłoby się wydać, a wtedy... trzeba być ostrożnym i nie za bardzo chciwym. Choć przecież, gdyby dziad narobił trzy tysiące i więcej, można część pieniędzy puścić między ludzi, a resztę zachować na później.

– Niech dziad narobi, z jakie pięć tysięcy i niech sobie potem idzie z Bogiem! – pomyślał pan Andrzej. – A jeśli narobi i nie będzie chciał odejść, zażąda za tajemnicę dożywocia? Albo, jeżeli zdradzi tajemnicę, wygada po pijanemu?... Jedyne byłoby wyjście: postąpić z dziadem tak, jak Aleksiej Mielkow w Tutalskiej. Ale przecież pan Andrzej tego nigdy nie robi, zbójem nie jest i nie będzie. Na coś podobnego sumienie nie pozwoli!

W południe wrócił pan Andrzej do domu. Dziad zbliżył się. Pan Andrzej zadysponował:

– Dziadowi także dajcie obiad, niech się naje i idzie do Irkucka ucałować prochy św. Innocentego!

Pan Andrzej wołał ciężką pracą dorabiać się chleba i zabezpieczenia starości, niż przez fałszerstwo ryzykować wolność.

Inaczej patrzył na rzeczy Aleksiej w Tutalskiej nad Tomią. Gdy mu jakiś zesłańca zaproponował robienie fałszywych pieniędzy, bez namysłu zgodził się na spółkę z fałszerzem. Fabrykę założyli na zaimce² Aleksieja w głuchej, mało dostępnej miejscowości, z dala od osiedli i innych zaimek. Tam „mistrz” w cichości robił srebrne ruble, a Aleksiej je zabierał, dając w zamian chleb, herbatę i wódkę. Trwało to czas jakiś. Aleksiej w swym sklepiku zamieniał złoto i banknoty na fałszywe ruble. Gdy zaś okolica nasycona nimi została, a jednocześnie fałszerz zaczął się upominać o swoją część zysku, Aleksiej zrobił z nim czałdoński obrachunek: zabił go toporem, jak wieprza, a trupa zakopał na bagnach.

Aleksiej miał już... spokój, miał też i pieniądze. O zesłańca nikt się nie troszczył, nikt się nie interesował, nikogo on na Syberii nie obchodził i na jego zniknięcie nikt uwagi nie zwrócił.

W pierwszym roku wojny syn Aleksieja, Aleksandr, wybudował na Jurdze, skąd szła nowa linia kolei żelaznej do kopalni węgla w Kolczyginie, wielki, okazały dom ze sklepem i od czasu do czasu wydawał kupującym resztę fałszywymi rublami.

17. Drobnny handel. Roztopy wiosenne

Przez kilka pierwszych miesięcy po przybyciu do Pirowska nie miałem żadnego zajęcia: chłopci parobków w zimie nie trzymają, a zresztą na parobka się nie nadawałem, bo sił nie miałem; rzemiosła żadnego nie znałem, a żadnych biur, przedsiębiorstw, kantorów, gdzieby po-

² Zaimka – grunta, zajęte przez chłopca pod uprawę. Zwykle stawiają tam chatenkę, którą też zaimką zowią.

trzebowali inteligenta do pracy, ani w Pirowsku, ani w bliższych i dalszych wsiach nie było. Matka i rodzina żony przysyłały mi na utrzymanie niewielkie sumy z uszczerbkiem własnych potrzeb. Nie chciałem i nie mogłem siedzieć bezczynnie. Przemysliwałem, jakby zdobyć choć trochę pieniędzy, znaleźć choć niewielki zarobek.

Tow. Olesienkiewicz wybudował piec do wypalania garnków glinianych. Zgodziłem się dostarczać mu drewno sosnowych. Pożyczyłem od czałdona piłę i siekiery i razem z tow. Hoppem przez parę tygodni chodziłem do lasu: ścinałliśmy sosny, rąbali drwa. Robota szła niesporo, nie mieliśmy wprawy ani sił, a pora była nieodpowiednia. Jednak nie zrażaliśmy się i co dzień brnęli do roboty po pas w śniegu i łopatami odgrzebywali zawiane przez noc kloce. Praca była ciężka, zarobek – nieduży. Żałowaliśmy przeto, że zapotrzebowanie na drwa było bardzo ograniczone.

Czałdoni poradzili mi, abym się zajął drobnym handlem. Na założenie we wsi sklepiku funduszów nie miałem, zresztą w każdej wsi był sklepik zaopatrujący chłopów w niezbędne towary. Pomimo tych sklepików wędrowni domokrażni sprzedawcy jednak egzystowali także na Syberii. Postanowiłem stać się wędrownym handlarzem. Kupiłem konia za dwadzieścia pięć rubli, stare sanie i uprząż za trzy ruble, pojechałem do Jenisejska, gdzie kupiłem za kilkanaście rubli drobiazgow: nici, igieł, guzików; brat przysłał mi z Łodzi paczkę ze wstążeczkami, paciorkami, zabawkami itp.

Ułożyłem towar w skrzyneczki i pojechałem w objazd wsi syberyjskich. Towarzyszył mi tow. Hoppe, z którym dzieliłem się zarobkiem. Nie oddalaliśmy się od Pirowska zbyt daleko w obawie spotkania policji, która za przekroczenie granicy przydzielonej nam na osiedlenie wołości mogłaby nas zaaresztować i odstawić etapem okólną drogą przez Jenisejsk z powrotem do Pirowska.

Przyjechawszy do wsi, zostawialiśmy konia u chłopca, a sami, wzięwszy skrzynki z towarem, obchodzili chaty, pokazywali towar, zachwalali i czasem utargowali kilkanaście kopiejek. W niejednej jednak chacie po obejrzeniu towaru i wypyтaniu się o cenę oświadczano z całą otwartością, że pieniędzy ani grosza nie mają. Czasem zamiast pieniędzy dostawialiśmy bochenek chleba, dzbanek mleka lub wiązkę siana. Kontenci byliśmy i z tego, bo chodziło nam przede wszystkim o zarobienie na życie. Zdarzało się także nieraz, że w całej wsi nie utargowaliśmy ani kopiejki. Ładowaliśmy zaraz swe skrzynki na sanie i wędrowali dalej.

Ponieważ sprzedawać mogliśmy tylko we dnie, staraliśmy się przeto zwykle podróże odbywać w nocy, drzemiąc w saniach na zmiany. Nieraz jechaliśmy od wsi do wsi niemal noc całą, bo przestrzenie między wsiami były duże, np. między Białą a Ketą – 32 wiorsty, a stamtąd do Ałtatu – 29 wiorst. Raz na tydzień, a najwyżej raz na dwa tygodnie wracaliśmy do Pirowska, aby odebrać listy z poczty i znowu jechać w przeciwną stronę.

Gdy się zapas towaru wyczerpał, jechaliśmy po nowy do Jenisejska, odległego o 120 wiorst.

W przerwach między podróżami sprzedawałem trochę towaru na miejscu w mieszkaniu. Z wiosną trzeba było zaprzestać wyjazdów w obawie, aby nagłe roztopy nie zatrzymały nas z dala od swego domu.

W pierwszym roku pobytu na Syberii nie zdawałem sobie sprawy z przeszkód w komunikacji, jakie sprawiają roztopy wiosenne; miałem niebawem doświadczyć na sobie skutków nieświadomości, nieobeznania z miejscowymi warunkami.

Na 2–3 tygodnie przed Wielkanocą (według porządku prawosławnego), niezależnie czy Wielkanoc jest wczesna, czy późna, nastaje na Syberii wiosna: mrozy folgują, niebo rzadko pokrywa się chmurami, słońce we dnie świeci wesoło, śnieg taje powoli, zamienia się w firm, czyli w kryształki wielkości kaszy perłowej. Pod działaniem ciepłych promieni słonecznych przyroda się ze snu zimowego budzi, strumyki szemrzą, ptaszki świergoczą, otucha wstępuje w serca ludzkie!

Pewnego dnia powieje ciepły wietrzyk lub spadnie ciepły deszcz wiosenny i nagle masy śnieżne zamieniają się w wodę, która nie może się pomieścić w korytach rzek i rozlewa się szeroko po polach i lasach. Po tygodniu lub dwóch po śniegach śladu już nie pozostaje, wody opadły, tylko zerwane mosty, popsute przez prąd drogi, powyrywane drzewa świadczą jeszcze o niedawnych roztopach.

W 1910 roku prawosławna Wielkanoc przypadała pierwszego maja nowego stylu. W wielki piątek przyszedł do mnie tow. Ałtufjew i, wzięwszy w mój kramik jakąś drobnostkę za kilkanaście kopiejek, dał mi banknot dwudziestopięciorublowy. Ponieważ banknot był zniszczony, wahałem się go przyjąć, jednak po zapewnieniu Ałtufjewa, że gotów jest w każdej chwili zamienić go na inny, wzięłem i wydałem resztę.

Tow. Ałtufjew była to zagadkowa osobistość. Na imię miał Maks, a w dokumentach figurował jako Wasilij. Umiał pisać rozmaitymi

charakterami pisma. Twierdził, że jest studentem medycyny, ale zdaje się, był tylko felczerem. Wymowny, energiczny, podający się za esera³, przewodniczył na wszystkich zebraniach, ale zaufania w nikim nie wzbudzał.

Wkrótce po otrzymaniu od niego dwudziestopięciorublowki dowiedziałem się, że Ałtufjew ma sporo zniszczonych banknotów, których w sklepikach zmienić nie może. Na drogę na Syberię rodzina dała mu buty, w których za podszewką zaszyte były pieniądze. Nie uprzedzono go jednak o skarbie i banknoty się poniszczyły, napisy się starły.

Ałtufjew mieszkał w Pirowsku po drugiej stronie rzeczki. Za mostem droga przez bagna była już dla pieszych nie do przebycia. Pojechałem do niego konno. Nie zastałem go: wyjechał nagle z manatkami do innej wsi, odległej o dwadzieścia pięć wiorst, do Troickiej. Dziwnym mi się wydał taki nagły wyjazd. Postanowiłem go ścigać.

Droga była zniszczona, śnieg mokry, jazda na saniach nie była możliwa. Okulbaczyłem konia, wziąłem na drogę kawałek chleba, nóż, toporek. Pojechałem. Był to poniedziałek wielkanocny, drugi maja. Słońce grzało, wiał ciepły wiaterek, w lesie ptaszki ćwierkały.

W lesie droga była twarda, zmarznięta. Czas jakiś jechałem kłusa. Drwiłem w duchu z czajdonów, którzy ostrzegali przed puszczeniem się w taką porę w podróż. Ale nagle koń zapadł się przednimi nogami w śnieg! Nieprzygotowany na taką niespodziankę, fiknąłem koziołka przez łeb koniowi.

Gdym z lasu wyjechał na polanę, takie koziołki powtarzały się niejednokrotnie. Musiałem zsiąść z konia, iść piechotą. Wracać nie chciałem: niedaleko przecież znowu las, a w cieniu – droga zmarznięta. Prowadziłem konia za lejce. Ale koń się ociągał. Uciałem tykę, jeden koniec przywiązałem do uzdy, a drugi trzymałem w ręku, idąc z tyłu za koniem i popędzając go batem. W ten sposób posuwaliśmy się prędeż. Ale koniowi było ciężko iść, bo mokry śnieg przylegał mu do podków, tworząc grube bryły przylepione pod kopytami; od czasu do czasu trzeba je było od podków odbijać. Chciałem go rozkuć, ale na szczęście nie miałem odpowiednich narzędzi, a samą siekierką nie mogłem tego dokonać.

Nareszcie dotarłem do Kusniecowej. Nie tracąc na popas czasu, pojechałem dalej. Szczęśliwie przejechałem przez rzeczkę koło młyna,

³ Eser, właściwie: esrowiec – członek rosyjskiej partii socjalistów-rewolucjonistów (SR) utworzonej na przełomie 1901 i 1902, która dążyła do obalenia caratu m.in. na drodze terroru indywidualnego – przyp. red.

była zamarznięta, lód mocny, droga twarda. Po drugiej stronie droga szła przez las, była więc dobra, jeszcze nie rozmiękła. Przejechałem kilka wiorst. Stałem znowu nad rzeczką przy drugim młynie. Na przeciwnym brzegu w oddaleniu widać Troickoje – cel mej podróży.

Droga w zimie prowadziła po lodzie na stawie powyżej młyna. Staw szeroki i głęboki. Pokrywa go lód, ale po lodzie płynie woda. Na powierzchni wody – cienka warstewka lodu.

Wjechałem w wodę. Koń iść nie chce, boi się, lód na powierzchni kaleczy mu kolana. Zawracam. Jadę szukać lepszej przeprawy. Śladów nigdzie nie ma. Z dala, poniżej młyna, grupa ludzi kręci się na przeciwnym brzegu. Krzyczę, hukam. Nie słyszą. Co robić? Wracać do domu z powrotem? Nie dotrzeć do celu podróży? Tylko wiorsta dzieli od niego. Chodzi tu o dwadzieścia pięć rubli. W tych warunkach syberyjskich to duża suma! Teraz nie ma pewności czy Altufajew odda, a po jakimś czasie, po roztopach, na pewno odmówi lub go wcale nie znajdzie. Nie można zwlekać!

Uciałem tykę, wpędziłem konia w wodę. Tyką rozbijam pokrywę lodową na powierzchni wody, ostukuję lód pod stopami końskimi czy dosyć mocny. Mądry koń wolniutko posuwa nogi po lodzie, maca miejsca, gdzie ma stąpać. Woda sięga mu do kolan, nawet poza kolana. Czysta, przezroczysta. Widać doskonale każdą rysę na lodzie, każdą szczelinę. Lód popękany. Koń chrapie ze strachu, ale się posuwa naprzód. Zawrócić nie sposób: wolna przestrzeń, po której można się posuwać, jest tak wąska, że koń się obrócić nie może.

Wjeżdżając na lód, nie zdawałem sobie należyście sprawy z niebezpieczeństwa, jakie mi groziło. Teraz dopiero widzę, że co chwila, bez przestanku, ciągle, dopóki jestem na lodzie, grozi mi niechybna zguba. Niechajby się koń potknął, upadł, już więcej nie wstanie. I ja też z nim zostanę pod wodą. A jeśli źle stąpnie, na słabe miejsce natrafi, wnet załamie się lód pod nim i obaj bez ratunku utoniemy.

Zawrócić nie sposób!

Przejechałem dwie trzecie tej niebezpiecznej drogi, pozostaje zaledwie kilkadziesiąt kroków. Koń posuwa się ostrożnie a woda rwie coraz gwałtowniej. Bałwani się. Widocznie w wodzie potworzyły się wyrwy. Woda spod spodu wydobywa się na wierzch. Czy jechać dalej? Przecież nie przejadę. Chyba cudem!

Ludzie biegną brzegiem. Takiego śmiałka jeszcze nie widzieli! Pytam się, czy głęboko w miejscu gdzie stoję. Ktoś woła, że głębia okrutna.

– Wracaj! Nie przejeździsz! Utoniesz!

Waham się. Powrotu nie ma! Ale i do brzegu nie dotrę! Sytuacja okropna! Bez wyjścia!...

Jakiś starzec woła:

– Nie bój się! Jedź śmiało! Rzekę już przejechałeś. To już brzeg! Woda tak rwie, bo grunt nierówny, ale dołów nie ma.

Odetchnąłem. Cmoknąłem na konia. Mądre zwierzę ruszyło naprzód pewnym krokiem. Za chwilę stałem na suchym gruncie. Chłopi kiwali głowami:

– No! Ryzykant z ciebie! Przecież to cud, że łód się pod koniem na głębi nie załamał. Ratunku by dla ciebie nie było.

Popędziłem do wsi. Odszukałem Ałtufjewa. Nie zadziwił się na mój widok. Podał mi kilka banknotów, podobnie wytartych, jak moja dwudziestopięciorublowka, i poprosił, abym je przesłał do Jenisejska do Izby Skarbowej dla wymiany. Właśnie jutro poczta z Białej odchodzi do Jenisejska. Do Białej tylko siedem wiorst.

Postanowiłem jechać. Koniowi dałem siana, sam się posiliłem. Było około pierwszej po południu, gdy się puściłem w dalszą podróż.

Z Troicka do Białej szły dwie drogi: jedna – bliższa – przez zamrznięte błota, a druga – dalsza – przez pasiekę. Za wsią spotkałem towarzysza, który szedł z Białej przez pasiekę. Radził mi, abym jechał dalszą drogą, bo choć śnieg na pasiece głębszy, jednak woda mniejsza niż na błotach. Pomimo to nabrało mu się wody w buty, choć cholewy miał niemal do bioder.

Wybrałem bliższą drogę po wodzie przez błota, bo się przekonałem, że podróż konno po głębokim a miękkim śniegu jest nazbyt uciążliwa.

Nizina, gdzie zalegały niemożliwe do przebycia w ciepłych porach roku błota-trzęsawiska, pokryta była śniegiem. Jeszcze przed tygodniem warstwa tego śniegu dochodziła nieomal do wzrostu człowieka: pod działaniem wczorajszego i dzisiejszego ciepła zmalała więcej niż do połowy. Rzadkie krzaki, pnie ściętych drzew, których niedawno spod śniegu widać nie było, czerniły się gdzieś na tle brudnobiałego morza śniegowego. W niektórych miejscach wśród śniegu widać było niebieskawe plamy: to woda zbierała się w zagłębieniach i potworzyła jeziorka. Znajdzie sobie ujście i popłynie do rzeki.

Po drodze, którą niedawno jeżdżono z Troicka do Białej, spływa nadmiar wód. Płynie strumień wody śniegowej i płynie. Jadę już

długo, zdaje mi się bardzo długo, a woda wciąż płynie. Kiedy narzecie wyjadę na wzgórze, na suche miejsce? Czas się bardzo dłuży. Jadę już chyba wiek cały. I dokąd płyną te wody? Może są dalej oparzeliska, które je pochłaniają. Jak je przejadę? Czy się nie zapadnę, nie utopię?...

Tymczasem koń śmiało idzie, pod kopytami ma twarde gruntu, zmarznięty. Drzewa rosną gdzieniegdzie, widocznie moczary się kończą. Zaczepiłem głową o gałąź, czapka mi spadła z głowy. Nachyliam się, jak mogłem najniżej, ale nurt uniósł czapkę daleko. Rozpędzam się i znowu się nachyliam. Zeskoczyć nie można, boby mi się woda nabrała w cholewy. Popręga słabo dociągnięta, siodło się skreśli, chlupnę do wody! Jeszcze tylko parę centymetrów brakuje, aby czapkę złapać... trzymam się za grzywę, przechyliam jak najniżej. Złapałem!!!

Na krzaku siedzi małe, bure zwierzątko. Pierwszy raz widziałem coś podobnego. Przypuszczam, że to szczur leśny. Był to świstak, burunduk. Usiadł na zadzie, jak wiewiórka, popatrzył na mnie czarnymi oczkami i schował się między gałęzie. Widok żywego stworzenia prawdziwie mnie ucieszył: przecież nie jestem sam jeden w tym potopie! A że zwierzątko się tu dostało, to znaczy, że suchy ląd blisko. Jakoż wkrótce wyjechałem na górkę.

Prędiutko załatwiłem w Białej sprawy: oddałem listy na pocztę, wręczyłem stojące gminnemu pieniądze do wymiany. I zaraz puściłem się w powrotną drogę.

Tym razem jazda przez błota po wodzie nie wydawała mi się nieskończonością, bo miałem pewność, że ją szczęśliwie odbędę. Przejechałem Troick bez zatrzymania. Stałem nad rzeką. Na brzegu stali chłopcy, tylko co przepawili na łódce jakiegoś gońca rządowego. Gdy mnie zobaczyli, wołają:

– Pan! Udało ci się w tę stronę, bo udało! Zuch z ciebie, ale i szczęśliwiec! Jednak z powrotem nie pojedziesz, bo lody już ruszyły. Wracaj do wsi! Gdy kra spłynie i woda opadnie, pojedziesz spokojnie do domu.

Nie uśmiechał mi się tak długi popas w obcej miejscowości. Ze względu na utrzymanie konia byłby nawet kosztowny. Nie wiedziałem, jak długo wypadło by mi czekać, aż można będzie przejechać rzekę w bród. Liczyłem, że dopiero za miesiąc.

Zażądałem, aby mnie przepawiono na drugą stronę na łódce. Chłopcy chęci nie mieli, ale żądanie spełnić byli obowiązani. Poniżej

młyna, gdzie była przeprawa, lody spłynęły za wyjątkiem jednej wielkiej kry, która trafiwszy na wir na głębiny przy upuście, kręciła się w kółko, lada chwila jednak mogła popłynąć z nurtem. Chłopi obawiali się, aby nie popłynęła właśnie, gdy będziemy na środku rzeki i nie rozbiła łódki.

Na moje stanowcze żądanie zgodzili się mnie przewieźć. Rozkulbaczyłem konia, do uzdy przywiązałem długi sznur. Wsiedliśmy do łódki, koń wszedł w wodę nęcony kawałkiem chleba, który trzymałem w ręku. Płynął z początku tuż za łódką. Człdoni wiosłowali z całych sił, koń nadążyć nie mógł, nurt go znosił, pozostawał coraz dalej za nami. Popuszczałem linę, pokazywałem chleb, cmokałem, zachęcałem do pośpiechu. Już jesteśmy na środku! Jeszcze parę minut i wyjdziemy na brzeg przeciwny. Koń stęka, ledwie płynie, cały zanurzony, łeb mu tylko widać.

Człdoni ostrzegają przed krą na wirze:

– Jeśli popłynie, puszczaj konia, łap za wiosło i pomagaj wiosłować, bo inaczej zginiemy.

Płyniemy. Kra kręci się wciąż w kółko. Koń goni ostatkami sił. Zanurza się co chwilę po uszy. Wypuściłem już całą linę, ciągnę za sam koniec. Coraz ciężej! Widocznie koń siły traci. Człdoni wiosłują, szeptem powtarzają:

– Hospody pomiłuj! Boże, zmiłuj się!

Już niedaleko! Koń wynurza się z wody, stąpa już po dnie. Dotarliśmy.

Człdoni pomogli mi czym prędzej okulbaczyć konia, radzą jechać co sił, aby się koń zagrzał.

Wskakuję na siodło. Pomknąłem. Koń biegnie jak szalony. Chce się rozgrzać. Mróz na noc bierze. Droga śliska, wąska, pochyła. Ściemnia się. W lesie już zmrok. Koń pędzi. Oby tylko się nie potknął, nie poślizgnął, nie upadł! Niechybnie rozbiłbym sobie głowę o przydrożne sosny.

Za chwilę byłem nad brzegiem rzeki, przy młynie w Kuźnicowie. Po drugiej stronie widać domy, światła. Łód na rzece jeszcze się trzyma, ale woda płynie po lodzie. Koń wchodzi w wodę, idzie dość pewnym krokiem, widocznie czuje pod nogami twardą drogę. Rzeczka w tym miejscu nie szeroka. Po krótkiej chwili, która się jednak długą wydawała, koń wyszedł na brzeg.

Zajechałem do znajomego chłopca. Siedzieli przy wieczerzy. Zaprosili do stołu. Dowiedziawszy się o przeprawie wpraw, gospo-

darz radzi, abym jechał zaraz dalej, aż się koń dobrze zagrzeje, gdyż inaczej łatwo może zmarznąć, zdechnąć. Usłuchałem rady. Dałem koniowi kawałek chleba, aby nabrał trochę sił, i za chwilę byłem za wsią.

W zimie noce są na Syberii długie, ale widne. Podczas mrozu przy pełni jest tak jasno, jak we dnie, czytać można przy świetle księżyca. Gdy księżyc nie ma, a tylko gwiazdy świecą, panuje mrok przejrzysty, a nawet przy zachmurzonym niebie widać jako tako, bo blask bije od śniegu. W lecie noce są bardzo krótkie, a zorze tak długie, że np. na początku lipca ledwo mrok około północy zapadnie, wnet po półgodzinie znowu rozwidnia się, świtać zaczyna. W przeciwieństwie do tego, na wiosnę i jesienią noce są nadzwyczaj ciemne.

Ciemność szybko zapada. Drogi nie widać. Koń ją wyczuwa pod kopytami. Droga twarda, zmarznięta. Obok drogi – albo śnieg mniej lub więcej głęboki, albo kałuże zamarznętej wody lub skrzepnięte grząskie błoto. Koń przystaje niekiedy, chrapie: napotkał na drodze przeszkodę – dół lub wyrwę. Muszę zsiąść, zobaczyć, ostukać przeszkodę patykiem, czy niezbyt wielka, czy koniowi nie grozi złamanie nogi przy przejściu.

Przy takich operacjach przemoczyłem buty i nogi mi na strzemionach marzły. Aby się rozgrzać, biegłem obok konia, trzymając się łątku, aby nie upaść na nierównej i śliskiej drodze.

Było już około północy, gdy dotarłem do Pirowska. W oknach świateł nie widać. Czładoni śpią, w pola nie wyjeżdżają; baby jeszcze nie wstały do pieczenia chleba. Stróże nocni budzą się z drzemki:

– Kto jedzie? Skąd o tej porze?

Opowiedziałem się. Pytam, czy droga przez błonia, dzieląca wieś na dwie części, nie jest zalana, czy most na rzece nie zerwany.

– Most w naszej wsi mocny, na silnych słupach, nie podda się największemu naporowi wód. Ale nie radzimy ci jechać na drugą stronę po nocy, bo rzeka wystąpiła z brzegów i kra leży przy moście przy drodze. Poczekaj, aż się rozwidni, abys, omijając krę, nie wpadł do rowu.

Od mego mieszkania dzieli mnie zaledwie kilkaset metrów, a dostać się do niego nie mogę!

Zastukałem do jednego z towarzyszy, aby mnie przyjął na resztę nocy. Konia przywiązałem do słupa, okryłem kocem, którego zwykle używałem zamiast czapraka pod siodło, a sam wszedłem do chaty. W izbie u towarzysza było zimno i brak najprymitywniejszych

sprzętów, nawet łóżka lub tapczanu. Położyłem się na podłodze w ubraniu. Przedrzemałem do świtu.

Gdy się rozwidniło, pojechałem do domu.

18. Świadkiem nam... tajga syberyjska

W związku z suchym klimatem syberyjskim, wahania temperatury, nawet znaczne, następują przeważnie raptownie. Nieraz w ciągu nocy silny czterdziestostopniowy mróz, jakby naraz, maleje do dziesięciu stopni. Trafia się też na wiosnę i na jesieni, że przed południem jest pogoda ciepła, słoneczna, a już wieczorem tegoż dnia szaleje silna zamieć śnieżna, woda się ścina, mróz sięga kilkunastu stopni. I znowu po paru czy kilku dniach wiatr szybki ścicha, chmury się rozchodzą, robi się od razu prawdziwie ciepło i pięknie.

Skutkiem takich raptownych zmian pogody, roztopy wiosenne i gwałtowne wzbieranie rzek rozpoczynają się niespodzianie. Wprawdzie już od połowy wielkiego postu „czuć w powietrzu wiosnę”: niebo jasne, bez chmur, na słońcu wcale ciepło, ale w cieniu jeszcze zimno, w nocy przymrozki sięgają 10–20°C, śniegi pokrywają ziemię grubą warstwą. I naraz pewnego dnia robi się gwałtownie bardzo ciepło, śnieg na polach topnieje w oczach, rzeki i rzeczki gwałtownie wzbierają, występują z brzegów, płynię kra, woda rwie po drogach, zalewa pola, znosi mosty i groble, obala drzewa. A po kilku dniach – tygodniu lub więcej – po śniegach na polach śladu już prawie nie pozostało, wody w rzekach opadły, niebo pokrywa się chmurami, robi się zimno, pada deszcz i śnieg na przemian, w nocy – przymrozek, we dnie – błoto nie do przebycia. Ziemia, rozmiękła na kilka cali, pod spodem jest wciąż jeszcze zmarznięta. W dołkach stoją kałuże, w parowach i w lasach leży jeszcze śnieg, a raczej firm w postaci drobniutkich bryłek lodu. Komunikacja między osiedlami zostaje przerwana: na saniach po błocie jechać nie można, przez śnieg w lesie czy krzakach nie przejedzie się na wozie. W razie silnej potrzeby jedynie konno można się puścić w podróż. Zboże do młyna też nieraz wożą na grzbietach końskich. Rzadko się zdarza spotkać kogo na drodze. Czładoni w swych zagrodach robią porządki wiosenne, szykują wozy i narzędzia rolnicze, poprawiają płoty, rankami po grudzie idą do lasu stawiać drwa na przyszłą zimę.

Gdy wody w rzece opadły, a ziemia nieco podeschła, wybrałem się w podróż konno do odległej o 45 km Warakowszczyzny. Jeszcze w zimie sprowadziłem z Moskwy nasiona warzywne i chciałem je

co rychlej rozprzedać w dalszych wsiach, aby uprzedzić konkurentów-handlarzy, którzy niezadługo wyruszą z Kozaczyńska z nasionami, wytworzonymi na Syberii.

Siodło miałem drewniane, zrobione za 70 kopiejek przez specjalistę czajdona. Za czaprak użyłem stary koc swój kawalerski, który mi służył w więzieniach i na stepach. Przytroczyłem do siodła węzełki z nasionami, wziąłem trochę chleba i cukru i wyruszyłem w drogę. W sąsiedniej wsi – u Zyrian – poradzono mi, abym nie jechał wprost do Warakowskiej, gdyż na rzece za wsią most jest zerwany, lecz abym udał się okólną drogą przez jakieś nowe osiedle, „posiołek” zamieszkały przez emigrantów rosyjskich, czyli tzw. „nowosiołów”, gdzie na nowo zbudowanym promie będę mógł się przeprawić na drugą stronę rzeki. Właśnie nazajutrz jeden Zyrianin jedzie w tamtą stronę do swej zaimki, więc może być mi przewodnikiem. Pojechałem z nim. Jechaliśmy przez kilkanaście wiorst przez podmokły step, gdzieśgdzie zdarzały się kępy krzaków, w dali na horyzoncie widać było lasy. Droga zarosnięta trawą, prawie niedostrzegalna. Kolein od kół nie znać, jedynie stary nawóz koński świadczy, że tędy ludzie jeździli w zimie. Pogoda piękna, słońce praży, w powietrzu cisza, czasem tylko słychać śpiew unoszącego się pod niebiosa skowronka, rzadko przeleci inny, mały ptaszek. Owady nie brzęczą w powietrzu, jeszcze nie wyszły z zimowego snu. Świeże powietrze i ten spokój niezwykle dziwnie usposabiają człowieka. Chciałoby się zapomnieć o wszystkim, o całym świecie. Robi się tak błogo na duszy, tak lekko! Nie chce się nawet rozmawiać z towarzyszem podróży, aby nie zakłócić powszechnej ciszy. Konie stąpają miarowo, woda bryzga spod kopyt. Czasem chłop zeskoczy z siodła, wyciąga zapalniczkę, zapala zeszloroczną trawę. Płomień biegnie na wszystkie strony, ale że ziemia jeszcze mokra, gaśnie wkrótce nie wypełniwszy swego zadania. Na wypalonych miejscach trawa prędkiej i bujniej porasta. Nie wiedziałem naturalnie o tym dotychczas. Nie widziałem też nigdy przedtem żurawi i byłem mocno zdumiony, gdy para tych wielkich ptaków uniosła się w powietrze dopiero, gdyśmy podjechali do nich na odległość kilku kroków. Żurawie są w ogóle czujne, nie dają się podejść, ale widać i na nich wywarł wpływ spokój, jaki panował wokoło.

Zbliżał się kres naszej wspólnej drogi. Ja miałem jechać jeszcze kilkanaście wiorst dalej. Przewodnik Zyrianin zbaczał do swojej pobliskiej zaimki, aby podpalić trawę naokoło znajdujących się tam budynków i stogów siana. Przed rozstaniem radził mi trzymać się

na baczności pomiędzy nowosiołami, gdyż to ludzie niebezpieczni, może nie lepsi od „bradiagów”⁴.

– Wasz Filip był u nich i powiada, że nie chciałby więcej gościć między nimi, tak się bał, bo im źle z oczu patrzy.

Znałem Filipa, miałem przekonanie, że to najgorszy czaldon w Pirowsku, gotowy na wszystko, kułak, chciwiec, zdzierca. Jeżeli taki zbój boi się nowosiołów, do których jadę, jakżeż ja sobie dam z nimi w razie czego radę?

Przy pożegnaniu mój przewodnik udzielił mi „dokładnych” wskazówek jak mam rozpoznawać dalszą drogę:

– Jedź wciąż prosto po śladach końskich. Niedługo stąd napotkasz strumień, który przejedziesz w bród. I znowu będziesz jechał stepem kilka wiorst aż do lasu, trzymając się niedaleko strumienia. A tam w lesie – to już jedna droga, zresztą i do osiedla blisko.

Rozstaliśmy się. Wkrótce zobaczyłem strumień. Był płytki, dość szeroki. Na środku strumienia koń się zatrzymał, aby się napić wody. Gdy już pragnienie ugasił, zaczął grzebać nogą mącąc wodę naokoło. Nie rozumiałem, co to znaczy, nie reagowałem. Naraz koń kładzie się w wodę. Ledwom zdążył zeskoczyć, wody się w cholewy nabrało. Przyłożyłem koniowi batem, zerwał się na nogi. Ocieka z wody i błota, juki zamokły, na szczęście nasiona, przytroczone do drugiego boku, pozostały suche. Co by to była dla mnie za szkoda i strata, gdyby nasiona zamokły! A to wszystko dlatego, że nie wiedziałem, iż konie na wiosnę lubią się pławic w wodzie, a grzebanie przednią nogą oznacza u nich chęć tarzania się.

Na stepie orientowałem się dobrze, którądy jechać. Słońce miałem wciąż po prawej ręce. Gdym jednak wjechał w las, omal nie zbłądziłem. Ślady zdawały się iść we wszystkich kierunkach, właściwej zaś drogi wcale nie było, prowadziły jedynie liczne ścieżki między drzewami, krzyżujące się między sobą, mało dostrzegalne. Na szczęście doszło mych uszu dalekie szczekanie psa, trzymałem się więc kierunku, skąd głos było słychać. Wkrótce ujrzałem obszerną polanę, a na niej jakieś budy i budynki bez dachów, ale o wysokich kominach. Podjechałem do jednego z nich. Był to zrab niewykończony chaty. Zeszłego roku w te okolice przyjechały partie biednego chłopstwa z Rosji Europejskiej, dla których rząd carski wydzielił z bezpań-

⁴ Brodjaga lub bradziaga: włóczęga, często zbrodniarz, który bądź uciekł z katorgi, bądź z osiedlenia i chce powrócić do swych miejsc rodzinnych, musi się ukrywać, żyje z jałmużny, a częściej z rozboju.

skich obszarów syberyjskich tereny nadające się pod uprawę rolną. Na zagospodarowanie otrzymywała każda rodzina po 250 rubli, ale ta suma, wypłacana przeważnie ratami, z reguły nie wystarczała na wystawienie budynków, kupienie inwentarza, obsianie pola, które nierzadko trzeba było przedtem karczować, i przetrwanie do zbiorów. Dlatego między nowosiołami panowała zazwyczaj nędza w pierwszych latach po osiedleniu się. Ponieważ jednak głód ziemi był w Rosji wielki, więc nie zważając na brak środków i czekającą nędzę, tysiące chłopów rosyjskich ciągnęły rokrocznie, począwszy od 1905 r., na Syberię wszystkimi drogami, furmankami, pieszo i koleją. Wkrótce zabrakło wolnych terenów w Syberii Zachodniej i fala emigracji zalała gubernię Jenisejską i dalsze, aż po Daleki Wschód.

W 1909 r. w okolicach Kozaczaj i Warakowskiej powstały liczne osiedla nad rzeką Kemią, tzw. posiołki. W miejscowości, dokąd przyjechałem, mieszkało kilkanaście rodzin emigrantów z Orłowskiej guberni. Jak wspomniałem, nędza między nimi była okropna. Kto mógł, starał się znaleźć w zimie pracę zarobkową u „starożyłów” czadonów, niektórzy żebrali. Semion Oriechow znał się na rymarstwie, przez zimę pracował u Zyrian. Dał się poznać, jako człowiek „wyjątkowo” porządny. Poradzono mi udać się do niego, aby mi pomógł przeprowić się przez rzekę.

W chacie, do której zajechałem, zastałem mieszkańców przy posiłku. Na środku brudnej izby stał prymitywny stół z niemalowanymi desek, a na nim gliniana misa z rozmoczonym w mleku czarnym chlebem. Był to zwykły obiad tych ludzi. Wygląd całej rodziny zdradzał nędzę i głód. Pomimo to, w odpowiedzi na moje powitanie i życzenie „dobrego apetytu” zaproszono mnie do wspólnego posiłku. Podziękowałem. Prosiłem o wskazanie gdzie mieszka Siemion. Z całą uprzejmością wskazano mi chatę na skraju osiedla.

Jadąc przez wieś mogłem się przekonać, że wszyscy jej mieszkańcy byli to ludzie jednakowo biedni. Tylko jedna chata była pokryta dachem. Zabudowań gospodarskich – żadnych, inwentarza – prawie wcale. Konie, po jednym lub dwa, mieli wszyscy, ale krowy posiadali tylko zamożniejsi lub szczęśliwsi.

Siemion miał chudą szkapinę i niemniej nędzną krowę. Chata jego była mała, bez dachu, naokoło płotu nie było. Siemion i jego rodzina przyjęli mnie serdecznie. Zagotowano wodę w czajniku, zaparzyłem swoją herbatę, chleb miałem z sobą. Dowiedziałem się, że prom wprawdzie zbudowano, ale brak było mocnej liny. Na nieszczęście

z powodu ciepłej pogody śniegi w lasach stopniały raptownie i woda w rzece podniosła się nagle i już występuje z brzegów. Po drugiej stronie rzeki stała grupka ludzi powracających z Kozaczey. Podczas przeprawy na promie słaba lina przerwała się i tylko przytomności umysłu i nadludzkim wysiłkom chłopów należy przypisać, że prom nie spłynął z nurtem na niechybną zagładę, lecz został przyciągnięty do brzegu. Został jednak trochę nadwyreżony. Cieśle wzięli się do naprawy, po nową linę miano posłać do Kozaczey. Musiałem zanocować u Siemiona. Nazajutrz rano przepравиłem się na drugi brzeg na łódce, zostawiając część węzełków u Siemiona, konia zaś zapętałem na łące.

Do Warakowskiej było do przebycia około 15 wiorst. Na połowie drogi napotkałem niezłe zabudowaną wioskę, zamieszkaną również przez nowosiołów. Minąwszy ją, zapuściłem się w gęsty, stary las. Prawdziwa tajga! Sosny niebotyczne, modrzewie ogromnej grubości o powykęcanych konarach, wysmukłe świerki i jodły o zielonych, miękkich igłach, a przede wszystkim pierwszy raz widziane cedry kopulaste bawiły mój wzrok. W lesie – w przeciwieństwie do stepu – pełno głosów: śpiew ptasząt aż się rozlega, słychać przeciągłe gwizdki, czasem daleki bek, to znów skrzypienie drzew opartych o siebie. Czasem przeleci ptak, to znów zając już o siwym grzbiecie przemknie w pobliżu, tam na drzewach figlują rude popielice, na zwalonym, omszonym pniu siedzi mały świstak – burunduk, a po ziemi, tuż przed moimi nogami przebiegają czubate jarząbki. Wszystko to jest dla mnie takie nowe, takie ciekawe! Radbym śledzić zabawę wiewiórek, przypatrywać się świstakowi, gonić jarząbki. Czasu szkoda, trzeba pospieszać!

Po błotnistej drodze jedzie ktoś naprzeciwko. Wóz o czterech kołach, w przedniej osi tkwią kłonicy. Zamieniliśmy z jadącym zwykłe pozdrowienia. Pytam się, czy daleko do wsi, czy droga wciąż taka błotnista. Chłop chętnie odpowiada, przypatruje mi się ciekawie, aż wreszcie zapytuje:

– Wy pewnie nietutejszy i nie Rosjanin? Po mowie miarkuję, że jesteście Polak. Służyłem w wojsku w Polsce. Dobrze mi tam było!

Rozmowa się przeciąga. Zapytuję, czy nie sprzedałby mi swego wozu.

– Sprzedać nie mogę, ale mój brat Dymitryj może wam taki wóz zrobić. Brat jedzie za mną z Warakowskiej. Spotkacie go na drodze. Porozmawiajcie! Mieszkamy w posesiołku na dole nad rzeką, przez który przechodziliście.

Rozstaliśmy się po przyjacielsku. Po jakimś czasie spotykam znowu podobny do poprzedniego wóz.

– Wy jesteście Dymitryj?

– Ja – odpowiada zagadnięty – ale skąd mnie znacie?

– Wasz brat Michał mówił mi, że was spotkam na drodze. Mam do was interes. Sprzedajcie mi swój wóz!

– Wozu tego nie sprzedam, ale mogę zrobić dla was nowy wóz.

Ustaliliśmy, że za trzy dni – w niedzielę – przyjdę do Dymitryja, a wóz będzie gotów. Kosztować będzie dziesięć rubli bez okucia. Cena zdała mi się nieduża. Wręczam rubla zadatku.

– To mało! Wszak koła muszę kupić, kosztują pięć rubli!

Wyciągam pięć rubli.

– Pan, dajcie całe dziesięć rubli! Gdy pojedę po koła, chcę zrobić także dla siebie trochę sprawunków, a pieniędzy w domu nie ma. Przy tym chciałbym też przywieźć wódki, bo właśnie w niedzielę przypada w naszej rodzinnej wsi w Rosji święto cerkiewne (odpust) i chcielibyśmy uroczyście spędzić ten dzień.

Popatrzyłem na chłopca, miał poczciwy wygląd. Swymi niebieskimi oczyma patrzył mi prosto w oczy.

– Dajcie mi pokwitowanie!

– Pisać nie umiem, ale przecież nie zaprę i, jak Bóg na niebie, dotrzymam przyrzeczenia.

– Jakżeż tak bez pokwitowania i bez świadków mogę wam wierzyć. Nieznajomemu, na drodze, wśród tajgi! Chyba ta tajga będzie nam świadkiem!

– Niech tajga będzie świadkiem, ja Was nie skrzywdzę.

Przypomniała mi się stara grecka legenda o Ibikusie, który napadnięty przez zbójców, wezwał żurawie na świadków.

– Tajga nam świadkiem! Zróbcie wóz na niedzielę!

– Zrobię, bądźcie pewni!

Rozstaliśmy się. Wkrótce wyszedłem na polanę. Ujrzałem wieś. Zaszedłem do jednej z pierwszych chat. Poprosiłem o gościnę. Koźuch i część węzełków pozostawiłem w izbie i poszedłem sprzedawać nasiona po chatach. Późnym wieczorem wróciłem do swej gospody i zaraz położyłem się spać, aby nazajutrz raniutko kontynuować handel.

Wieś była duża: w każdej chacie bawiłem dość długo, zachwalając swój towar. Oglądano ilustrowane cenniki, wypytywano się o szczegóły postępowania przy wysiewaniu rosyjskich nasion. Na

trzeci dzień – w sobotę rano – powtórzyło się to samo. Już obszedłem prawie całą wieś. Pozostało zaledwie kilka chat, w których nie byłem. Postanowiłem zjeść „obiad”, czyli napić się herbaty i przegryźć kawałek chleba. Przy herbacie gospodarz wdał się ze mną w dłuższą rozmowę. Gdy mu wspomniałem, że konia zostawiłem po tamtej stronie rzeki u nowosiołów, zganił mój nieogłębny postępek:

– Na łąkach koń się jeszcze nie naje, ucieknie przeto w stronę swojego domu, a mając pęta na nogach, łatwo zapłacze się o sęki w lesie lub nie wydobędzie się z bagna, w które może wpaść. A zresztą, tym hołyszom tam to i wierzyć nie można: zarzną konia i zjedzą, a powiedzą, że zginął!

Nie tracąc czasu, zarzuciłem węzełki na plecy i puściłem się w powrotną podróż.

Słyszałem nieraz zdanie, że zwykle człowieka nawiedza nie pojedyncze nieszczęście, ale od razu spadają dwie biedy. Przypuszczałem więc, że nie skończy się na stracie konia, ale też na pewno Dymitryj zaprze się otrzymania dziesięciu rubli za wóz. Robiłem sobie wyrzuty, że tak lekkomyślnie zawierzyłem nieznanemu człowiekowi tak znaczną sumę.

Biegnę co tchu. Na błoto nie zważam. Nie słyszę śpiewu ptasząt, nie przypatruję się drzewom. Nie robi żadnego na mnie wrażenia majestat tajgi. Zajęty jestem tylko jedną myślą: czy znajdę konia, czy Dymitryj dotrzymał słowa. Wydaje się to jednak mało prawdopodobnym. Strata duża w moich warunkach! Sam sobie jestem winien!

Deszczyk zaczyna mżyć. Przyśpieszam jeszcze kroku. Spociłem się, ledwo dyszę. Ale już niedaleko. Las się kończy. Prościutka droga prowadzi na dół nad rzekę. Już i chaty widać. A oto przy jednej chacie wyraźnie bieleją pod ścianą jakby dwie nowe osie. Dymitryj nie zawiódł! Osie wyciosał z nowej kłody, postawił na słońcu, aby schły. Inne części były też gotowe, tylko hołobli nie zdążył zagać. Pojechał po koła, wróci niebawem i wóz wykończy.

Otucha wstąpiła we mnie: zapewne i konia zastanę u Siemiona!

Przed wieczorem Dymitryj „pod dobrą datą” przywiózł koła. Zając się wozem nie chciał. Prosił, abym pozostał u niego przez niedzielę.

– Baliście się zapewne, że Wam wozu nie zrobię. Sąsiedzi dziwili się, gdy im opowiedziałem o naszym spotkaniu. Mówili, że mogę zaprzeć otrzymania pieniędzy. A ja przecież nie wzbogaciłbym się tymi dziesięcioma rublami, a krzywda byłaby dla Was duża. Zresztą,

kto wie, co się zdarzyć może. Wszak tajga była nam świadkiem! – dodaje z uśmiechem.

Czy tajga wywierała na Dymitryja jaki urok tajemniczy? – przypuszczam, że nie. Zapewne jednak wierzył, iż tajga jest siedzibą potężnego Ducha Leśnego, zwanego przez Rosjan „Leszym”.

Niedziela szybko przeszła. Poschodzili się sąsiedzi, opowiadali swoje dzieje, trochę biadali, ale przeważnie byli pełni nadziei na lepszą przyszłość. Podano wspólny posiłek, znalazł się kieliszek i butelka wódki. Że pić nie chciałem, wzięto mi za złe:

– Przecież wódka to też chleb. Ze zboża pędzona. Gardzić wódką to gardzić chlebem!

Następnego dnia rano zająłem się sprzedażą nasion, a Dymitryj tymczasem zdjął hołoble i założył wóz. Zaprzęgliśmy szkapinę Dymitryja i razem z nim pojechali w stronę posesji, gdzie zostawiłem swego konia.

Z całego postępowania Dymitryja i reszty chłopów, których u niego poznałem, wyniosłem przekonanie, że to ludzie dobrzy, uczynni, rzetelni i szczerzy. Serdecznie podziękowałem Dymitryjowi, gdyśmy przyjechali na miejsce, skąd widać było posesję na przeciwległym brzegu. Nad rzeką – nikogo, czołno przywiązane po tamtej stronie. Zacząłem hukać, nawoływać. Po jakimś czasie zjawił się przewoźnik, przyплыł na tę stronę, szczęśliwie przeprawiliśmy się pomimo wzburzonego nurtu.

Pobiegłem do Siemiona. Rozglądam się na wsze strony: konia nie widać nigdzie. Czyżby zginął? Siemion mnie uspokoił:

– Konia uwiązałem na długiej linie, bo w pętach wciąż uciekał w stronę Pirowska. Dzieci go doglądają i, jak mogą, wyszukują dla niego paszy.

W chacie zastałem moje węzłki nietknięte. I znowu miałem do wód, jak niestuszną była opinia czałdonów o nowych przybyszach z Rosji osiedlających się na Syberii.

Pożyczyłem od Siemiona uprząż i bez przygód wróciłem do Pirowska.

19. Pożary lasów

Wóz o czterech kołach, zrobiony przez Dymitryja, nadawał się przede wszystkim do wożenia długich kłoców. Nie był jednak wozem uniwersalnym, jak nasze wozy „saskie”, nie nadawał się do wożenia ludzi, siana i drobnych ciężarów. Przy pomocy tow. Hoppego, który podobnie jak i ja widział wozy saskie, ale nigdy nie wniknął

w szczegóły ich budowy, wziąłem się do przerobienia go na modłę europejską. W tylnej osi zrobiliśmy otwory dla kłonic, położyli deski, zamiast sworznia włożyłem jakiś kawałek starego żelaza. Na naleźyte okucie wozu brakło mi przede wszystkim żelaza, które należało sprowadzić z Jenisejska. Zresztą postanowiłem zbudować sobie w niedalekiej przyszłości prawdziwy wóz saski, a do tego czasu używać tego jaki mam, choć jest niewygodny.

Pilnej roboty czekało na mnie dużo. Chciałem założyć ogród, posadzić kartofle, posiać rzodkiewkę, ogórki itp. Duży plac $\frac{3}{4}$ ha wydzielił mi jeszcze w zimie samorząd wioskowy. Dałem za niego „stariczkom”, co znaczy starcom w radzie, jak gdyby senatorom, wiadro wódki. Plac był położony między Główną a Zieloną – ulicami połączonymi w tym miejscu szerokim zaułkiem. Przerżnięty był paroma rowami, którymi na wiosnę spływały wody do przepływającej w pobliżu rzeczki Białej. Właśnie owe rowy i doły były przyczyną, dlatego czałdoni ominęli to miejsce przy rozbudowie wsi i chętnie mi wydzielili ten, choć tak niezwykle duży plac. A mnie się on właśnie dla tych rowów i nierówności terenu podobał. Projektowałem poszerzyć zagłębienia, urządzić sadzawkę, przerzucić mostki, stworzyć mały park przy chacie, jaką w przyszłości postawię. Chatę wprawdzie w parę lat potem wybudowałem, ale na kopanie sadzawki w ciągu czteroletniego pobytu w Pirowsku czasu mi ani siły nie starczyło. Samemu wszystkiego zrobić niepodobna. Nająć robotnika nie miałem za co, zresztą robotnika na Syberii znaleźć niełatwo. Przez pewien czas pomagał mi za małym wynagrodzeniem tow. Hoppe.

Wzięliśmy się do grodzenia placu. Sporą ilość żerdzi zwiozłem jeszcze wiosną na saniach. Słupy można było wyrąbać w najbliższym lasku, otaczającym wieś. Rosły tu wprawdzie sosny niskie, karłowate, sękate, ale nie zastanowiliśmy się, że mniej byśmy pracy – no i czasu – tracili, rąbiąc równe, bez sęków słupy w dalszym lesie. A właśnie czasu przede wszystkim mieliśmy mało. Musiałem przecież sam i zabiegać o produkty spożywcze, których we wsi dostać nie było łatwo, i szykować posiłek parę razy dziennie, i mieszkanie sprzątać, i bieliznę prać, i konia karmić i poić – słowem spełniać samemu wszystkie czynności zwykle wchodzących w zakres obowiązków gospodyni i gospodarza, służącej i parobka. Zajęcia domowe i gospodarcze zajmowały niezmiernie dużo czasu, cały dzień do późnego wieczora pracowałem bez wytchnienia. Grodzenie posesji posuwało się niesporo.

Tymczasem pogoda się ustaliła. W lesie, gdzieśmy słupy ścinałi, chmary komarów przeszkadzały nam w pracy. Odpędzanie ich dymem z papierosów mało skutkowało. Pewnego poranku tow. Hoppe wpadł na pomysł i rozpałił ognisko. Kłęby dymu rozpedziły komary. Szybko naładowaliśmy słupy na wóz i pojechali do domu na śniadanie. Nie upłynęło i pół godziny, gdy z cerkwi zaczęto dzwonić na alarm. Okazało się, że od niezgaszonego przez nas ogniska zajęła się ściółka i pożar wkrótce ogarnął sporą przestrzeń lasu. W obawie, aby ogień nie dosięgnął gumien pełnych słomy pod lasem i nie ogarnął całej wsi, kto mógł, biegł z toporem lub łopatą gasić pożar. Roboty polne już się były rozpoczęły, wszyscy zdolni do pracy byli daleko, na odległych o wiele wiorst polach, we wsi pozostali starcy, baby i dzieci. Wszystko to pędziło w okropnej panice, przeklinając sprawców, do palącego się lasu. Moja gospodyni, stara Sonia Griszyna, wpada do mnie, drżąc i załamując ręce:

– Jakies łotry podpalili las, tylko patrzeć, jak pożar obejmie wieś. Koni we wsi nie ma, wszystkie w polach. Pan! Zaprzęgaj swą kobyłę i wieź wodę do lasu!

Zrozumiałem grozę położenia. Jeżeli wieś się zapali, czeka mnie odpowiedzialność nie lada! Szczęście, że dotychczas nikt nie wie, kto jest sprawcą pożaru.

Czym prędzej zaprzęgam konia do wozu z kadzią i pędzę galopem do rzeki. Nigdy jeszcze wody nie woziłem. Nie wiedziałem, że kadź należy zatrzymać nad brzegiem na specjalnej grobelce z nawozu i ziemi. W pośpiechu zakręciłem obok. A tu koń zapada się w grząski brzeg! Wydobyć się nie może, zapada się wciąż głębiej! Wyprzęgam go, co tchu, wózek z kadzią wyciągam z błota, pomagam wstać koniowi. Sprawa niełatwa! Nogi ma pogrążone w bagnie do samych pachwin. Rzuca się i jeszcze więcej pogrąża. Wreszcie obalił się na bok. Ciągnę go za łeb, to znów za ogon. Napracowałem się, namęczyłem, ale wyciągnąłem!

Koń się zmęczył więcej niż przy najcięższej pracy. Wstał, ale jeszcze mu się nogi trzęsą. Zaprzęgam go znowu na gwałt, napełniam kadź, wywożę na wzgórek. Dymu w lesie już nie widać. Ugasili. Tłum wraca do wsi.

Przez kilka jeszcze dni opowiadano o pożarze, złorzeczono nieznanym sprawcom. Wreszcie zapomniano. Ani ja, ani tow. Hoppe nie przyznaliśmy się do podpalenia, zresztą nieumyślnego, nie ze złej woli, lecz z braku zastanowienia.

Z podobnych przyczyn, przez pozostawienie niezgaszonego ogniska, powstają niejednokrotnie groźne pożary lasów, obejmujące niezmiernie duże przestrzenie. Czasem piorun trzaśnie w suche drzewo i roznieci ogień. Zdarza się też, że gaz błotny, wydobywający się z bagna, zapali się sam przez się, a od niego zatlą się torfy: żar rozprzestrzenia się pod powierzchnią ziemi i przepala korzenie drzew, które obalają się jedno na drugie. I z małej iskierki powstaje wielki ogień.

W rok po opisanym pożarze, spowodowanym przez moją nieogłędność, widzieliśmy pożar tajgi, oddalonej od Pirowska o kilkadziesiąt wiorst. Dymy przepęniały powietrze. Słońca widać nie było, czasem tylko ukazywało się małe, żółte, czerwone, jak żółtko od jajka. W nocy luna biła, od czasu do czasu buchały słupy ognia. Z wołosci przyszedł nakaz posłania ludzi do gaszenia pożaru. Chłopi pojechali, ale niebawem wrócili, a pożar trwał nadal. Cóż mogli zrobić? Należałoby umiejscowić pożar, wyrąbać tajgę naokoło, przekopać rowy, a na to trzeba by tysiąc rąk roboczych, których nie ma skąd wziąć. Na Syberii na 1 km kwadratowy powierzchni przypadał w ogóle jeden mieszkaniec, w Jenisejskim powiecie zapewne nawet dużo mniej (w Polsce przeciętnie przypada 90 mieszkańców na 1 km²), więc i o ratowaniu mowy być nie mogło. Toteż pożary zdarzały się i zdarzają rokrocznie i niszczą lasy w różnych miejscowościach wielkiej Syberii.

I choć zniszczeniu przez pożar ulegają częstokroć ogromne przestrzenie, nikt nie uważa tego za klęskę, za wyrządzoną komuś krzywdę. Pozostają przecież zawsze wielkie obszary leśne, przez ogień nietknięte, które na użytek mieszkańców starczą dla wielu przyszłych pokoleń.

Pożar, jak każde zjawisko, podlega pewnym ograniczeniom, hamującym jego nieprzyjacielską siłę. Posuwa się z wiatrem i zatrzymuje się, gdy wiatr zmieni kierunek. Nieraz znów natrafi na swej drodze przeszkody, których przekroczyć nie może, jak: rzeki, moczary i puste przestrzenie bez drzew lub porośnięte bardzo rzadkim lasem, zwanym na Syberii „jełanicą”, gdzie drzewa rosną o kilkadziesiąt metrów jedno od drugiego.

W niektórych miejscach ogień zdoła jedynie opalić szpilki drzew iglastych lub korę na brzożach. Przejdzie kilka lat, zanim takie drzewa uschną doszczętnie, po kilkunastu latach oblecą cienkie gałązki, w ciągu następnych 10 lat opadną i grube konary, a po jeszcze

10 latach jedynie sterzące gdzieniegdzie pnie świadczyć będą, że niegdyś rosła tutaj potężna tajga. I znowu po kilku latach i te pnie się rozsypią i zgniją nawet korzenie w ziemi. I przyjdą ludzie, posieją zboże i zbierać będą niewiarygodnie obfite plony. I błogosławić będą pożar, który zniszczył tajgę i przyczynił się do użyznienia ziemi.

Niezwykle długotrwały pożar miał miejsce w lecie 1915 roku. Powstał nad Jenisejem, a zgasł w bliskości rzeki Tom, odległej od Jeniseja niemal o 500 km. Przez sześć tygodni dymy zaścięły ziemię w promieniu kilkuset kilometrów, aż do Omska, a były tak gęste, że o kilkadziesiąt kroków świata widać nie było. Małeńkie, czerwone słońce rzadko dało się ujrzeć. Powietrze było parne, duszne. 50 km od pożaru czuć było wieczorami zapach palących się szczap żywicznych, nieraz leciały sadze i drobne węgielki.

Ile się tajgi spaliło, nikt nie obliczał, nikt nie sprawdzał.

W 1919 roku, nie na długo przed opuszczeniem na zawsze okolicy Jurgi, gdzie przez kilka lat mieszkałem, o mało co nie spowodowałem niechcący pożaru tajgi, szerokiej na 20 wiorst, ciągnącej się między rzekami Obi i Tomem na południe od Tomsku. Pojechałem tam sprawdzić i obliczyć przyszykowany budulec, zakupiony przez pana Janowicza w Bołotnem i obejrzeć drzewostan, przeznaczony do wycięcia, w rządowym rezerwacie. Oprowadzić miał mnie po lesie gajowy, Łotysz, mieszkający na wsi położonej pośrodku tajgi.

Las nie był stary, prawie same sosny na piaszczystym gruncie, wysokie, niebotyczne. Prawdopodobnie przed jakimś stu laty wypaliła się tu stara tajga, a po pewnym czasie rozsiał się las na nowo. Ze wsi szła dróżka częściowo błotnista, a przeważnie piaszczysta do oddalonego o 40 wiorst Bołotnego; po drugiej stronie tajgi rozsiane były „ułusy” (gminy) tatarskie, a dalej leżało miasto Tomsk. Wioskę zamieszkiwało kilka rodzin czałdońskich, zajmujących się „przemysłem leśnym”, tzn. myślistwem, pędzeniem smoły i dziegciu oraz zbieraniem jagód i żywicy modrzewiowej, zwanej „siera”, którą Sybiracy żują niby cukierki. Zboża nie siano, oprócz owsa w niewielkiej ilości, z braku pustych, nadających się pod uprawę przestrzeni. Nawet krów trzymano mało, bo trawa w tajdze źle się rodziła.

Po drodze nie spotkałem nigdzie miejsca, gdzie bym mógł konia popaść. A koń był głodny, zmęczony. Gdy nareszcie już w bliskości kresu podróży ujrzałem kawałek ziemi pokrytej jaką taką trawą i mchem, wyprzągłem konia, spętałem go, a sam zabrałem się też do śniadania. Trawa była szorstka, niesmaczna, koń jeść nie chciał,

zresztą komary mu nie dawały. Rozpaliłem ognisko, aby rozpędzić komary. Mało to skutkowało, więc przeniósłem ogień w drugie i trzecie miejsce. Grunt był wilgotny, naokoło krzaki liściaste, nie obawiałem się przeto wszcząć pożaru.

Zajęty ogniem nie spostrzegłem, jak koń puścił się w powrotną stronę, ku Bołotnemu. Popędziłem za nim, ale koń, choć w pętach, biegł szybciej ode mnie. Znałem zwyczaj konia. Wiedziałem, że daleko od swego pana nie ucieknie, zatrzyma się w suchym miejscu, gdzie komarów nie ma. Podejdę do niego wolno z kawałkiem chleba w rękę, da mi się wtedy złapać z łatwością. Wróciłem po uzdę i chleb, zaciągnąłem bryczkę w krzaki, wziąłem toporek. O ogień się nie troszczyłem, bo już dogasał.

Jak przewidywałem, koń się zatrzymał nie dalej jak o dwie wiorsty. Wsiadłem na niego i skręciłem w las ścieżynką, gdzie dojrzałem w oddali ułożony w stosy, obdarty z kory budulec.

Objechałem kawał lasu, żywej duszy nie spotkałem, tylko w pewnym miejscu dostrzegłem na piasku świeże ślady stóp ludzkich, idące w kierunku wioski. Niemile zostałem tym odkryciem dotknięty. Spotkać się z czałdonem sam na sam w „jego” tajdze nie jest bezpieczne, a już co najmniej przyjemne. Wprawdzie jestem na koniu i mam toporek z sobą. Jednego się nie zlekne, ale jeśli ich jest więcej? Zatrzymają konia, ściagną mnie na ziemię, zabiją, obedrą!... A może mają strzelbę? Nabój kosztuje 3 kopiejki, ubranie mam na sobie porządne: dla samego ubrania opłaci się mnie zastrzelić!...

Skierowałem się ku drodze. Dojechałem do krzaków, gdzie zostawiłem bryczkę. Stoi na tym samym miejscu, rzeczy na niej – nietknięte. Ogień jednak nie zgasł. Przeciwnie, pali się większy niż wtedy, gdy dorzuczał gałęzi: pali się stary pień zbutwiały, przy którym ogień rozniecił, w innym miejscu zajął się krzak, a w trzecim tlą się korzenie i suchy mech. Zaczynam ogień zdeptywać. Wycinam krzak, gaszę płomień. Rozrąbuję pień. Toporek mam mały. Pień tylko po wierzchu był zbutwiały, obrośnięty mchem, a wewnątrz jeszcze twardy, smolny. Po obłupaniu zgniłej powłoki pali się jeszcze lepiej.

Ktoś biegnie do mnie. Trzyma w rękach topór i łopatę. Chłop młody, wysoki. Nie czałdon: koszulę ma wpuszczoną w spodnie.

– Nie wie pan, kto tu ogień rozpalił?

– Ja! A wy kto taki?

– Leśniczy. Czałdoni co tedy przechodzili, narobili we wsi alarmu, że las został podpalony. Przybiegłem gasić.

– Nic strasznego! A dobrze się składa, bo właśnie do pana jadę w sprawie budulca pana Janowicza.

– Jakżeż się stało, że cząldoni pana nie widzieli? Powiadali, że nikogo tu nie było.

– Po konia gonilem, a potem jeździłem po lesie.

– To pańskie szczęście. Rozpalać ognisk w tym lesie nie wolno. Gdyby się las zapalił, nie byłoby dla wsi ratunku. Spłonęłyby wraz z karaczanami, a z ludzi żywa dusza by nie uszła. Szczęśliwie się złożyło, że cząldoni pana nie widzieli. Kto wie, co by się stać mogło. Wszyscy cząldoni to zbóje urodzeni. Zabić człowieka – nic dla nich strasznego. Zatarliby ślady i nawet by nie odpowiadali. A w sumie to by wyrzutów wcale nie czuli. Niech pan jedzie do wsi do mego domu i nikomu o ogniu i o spotkaniu ze mną nie mówi. Ja tu zostanę, sam ogień ugaszę.

20. Zbóje i ich potomkowie

Od czasów panowania Iwana Okrutnego zaczęło się stałe przenikanie elementu rosyjskiego do mało zaludnionych, ale niezwykle żyznych i w bogactwa naturalne obfitujących obszarów syberyjskich. Z początku szli tutaj „bohaterowie” w rodzaju sławnego Jermaka, zdobywcy Syberii (1582 r.), dla których jedynym ratunkiem przed stryckiem, grożącym im za liczne zbrodnie i rozboje, była ucieczka w dalekie stepy i lasy syberyjskie. Z czasem ustalił się w państwie carów, usankcjonowany prawami, zwyczaj deportowania największych przestępców na Syberię, na osiedlenie lub do ciężkich więzień syberyjskich, zwanych katorgą.

Chociaż zdarzały się wypadki zsyłania także ludzi bez zarzutu, porządnych, uczciwych, nawet wartościowych i ideowych, jak sektanci i więźniowie polityczni, jednak przeważał zawsze element przestępczy, nieliczący się ze skrupułami, działający brutalnie, bezwzględnie, który łatwiej wychodził obronną ręką z walki z ciężkimi warunkami bytu wśród surowej natury syberyjskiej niż spokojni uczciwi ludzie, zsyłani za przekonania religijne lub polityczne. I gdy ostatni ginęli w nędzy, choć ze szczytnymi hasłami na ustach, wszelkiego rodzaju awanturnicy, złodzieje i zbóje przezwyciężali wszelkie trudności i przeszkody, zabezpieczali swój byt i pozostawiali potomków, nazywanych powszechnie cząldonami.

Cząldoni (chłopi syberyjscy) to z reguły dalsi lub bezpośredni potomkowie zesłanych lub przybyłych dobrowolnie awanturni-

ków i przestępców. Zapatrywania etyczne w sprawie mienia i życia odziedziczyli po swych ojcach i dziadach, wychowanych w atmosferze kryminalnej. Zachowali psychologię i instynkt zbrodniarzy. Nie dopuszczają się drobnych kradzieży, które by się łatwo wydać mogły. Ale w razie szans na bezkarność skrupułów nie znają. Dla zatarcia śladów za najlepszy środek uważają... zamordowanie ograbionego. Trupa zagrzebać w lesie lub zasypać śniegiem, na zamrzniętych bagnach trudu wielkiego nie wymaga. Nikt szukać nie będzie. Bo i gdzie? Przestrzenie niemałe! Szkoda czasu i zabiegów!

W Pirowsku, w domu wdowy, matki Taisji, o której wspominałem w rozdziale z okazji jej choroby „na serce” z powodu objedzenia się niedojrzałymi porzeczkami, mieszkał czterdziestoparoletni zesłaniec Sidor. Z wdową żył w nieślubnym związku małżeńskim. Gospodarstwem zajmował się niewiele, utrzymywał kontakty z różnymi ciemnymi indywiduami, wyjeżdżał często do Jenisejska lub Bóg wie, dokąd.

Jesienią 1911 r. za otrzymane od p. Mioduszewskiego pieniądze skupował u myśliwców skórki futrzane. Przed Bożym Narodzeniem powiózł je na sprzedaż do Jenisejska. Gdy po paru tygodniach nie powrócił, zaniepokojona wdowa rozpoczęła poszukiwania. Okazało się, że Sidor, jadąc do miasta, przejechał przez Czalbyszewo, ale w następnej wsi – w Czerkasach – nie widziano go wcale.

Droga pomiędzy tymi dwoma wsiami prowadzi obok młyna stojącego pod lasem. Po drugiej stronie rzeczki były moczary parowiorstwowej szerokości, porośnięte krzakami. Młynarz, przyjaciel Sidora, twierdził, że Sidor nie wstępował do niego. Podłoga w młynie była zakrwawiona, ale młynarz tłumaczył, że to ślady krwi zabitej niedawno świni.

Prowadzący śledztwo komisarz policyjny skierował sprawę do umorzenia. Ale komisarz sąsiedniej wołosci, rywal tamtego, podjął nowe śledztwo. Zebrał chłopów i rozkazał przeszukać krzaki na zamrzniętych bagnach. W pewnym miejscu natrafiono na obgryzione przez dzikie zwierzęta i ptaki szczątki konia. Oględziny wykazały, że był to koń Sidora. Przywiązany do drzewka zdechł z głodu. W innym miejscu jeden z chłopów poczuł pod nogami coś miękkiego pod śniegiem. Gdy odgrzebał, znalazł trupa Sidora. Młynarz go tam wywiózł w nadziei, że na wiosnę podczas wylewu rzeki trup popłynie z wodą do oceanu i zbrodnia nigdy się nie wyda. Dla worka skórek wartości paruset rubli zamordował przyjaciela.

Dla mniejszych zysków też zdarzają się często morderstwa. Po między czałdonami utarło się zdanie, że warto człowieka zabić dla samej tylko odzieży – „łopati” jak powiadają – zabitego. Toteż wzdłuż traktów spotyka się liczne krzyże, postawione na mogiłach zamordowanych podróżnych. Morderca z reguły nie bywa wykryty. Świadców brak, a jeśli się znajdą, to zeznawać „umieją”.

Pomiędzy rodziną Terentija, największego bogacza w Szytikowie, a rodziną Piotra Basałajewa, również bogatego czałdona, panowała od dawna nienawiść „rodowa”, to znaczy od dawna były nie zakończone porachunki osobiste. Piotr miał w okolicy opinię złą. O Terentiju opowiadano, że służył w wojsku w straży pogranicznej i przyniósł z sobą pieniądze. Poszlaki wskazywały, że doszedł do nich nie w sposób legalny.

Było wtedy takie prawo, że na skupywanie samorodnego złota miał monopol tylko Skarb Państwa po ustalonych, niskich cenach. Za potajemną sprzedaż groziła okropna odpowiedzialność: chłosta, katorga. Pan Jabłoński opowiadał, że gdy uciekał do Mongolii ze znalezioną w kopalni bryłką złota, która mogłaby mu zabezpieczyć przez dłuższy czas utrzymanie, porzucił ją przed aresztowaniem na drodze, aby uniknąć ciężkiej kary.

Być może, Terentij odebrał jakiemu zbiegowi na granicy zapas złota, dając mu w zamian... kulę w łeb. Może w inny sposób doszedł do pieniędzy. Nie dociekano, a on się nie chwalił. Powiedział, że kradzież nie jest przestępstwem, bo okradziony może przy sprycie powetować sobie straty, ale morderstwo uważał jakoby za zbrodnię, gdyż odebrane życie się nie wróci. Terentij piastował swego czasu urząd sędziego gminnego i podług swych poglądów ferował wyroki. Ale czy miał naprawdę takie, jakie wypowiadał, a nie inne poglądy – trudno osądzić. W każdym razie można przypuszczać, że w syna swego Iwana nie wpoił poszanowania dla cudzego życia.

Pewnej nocy wiosennej odbywała się pijatyka u zamożnego czałdona w Asanowie, odległym od Szytikowa o 2 km. Był tam między innymi Iwan Terentjewicz i był też Piotr Basałajew. O świcie ktoś zauważył za wsią, przy zwiezionym na projektowaną cerkiew budulcu, stojącego konia z bryczką. Na bryczce leżał trup Piotra. Zjechało śledztwo. Uczestnicy pijatyki zgodnie zeznali, że po zakończeniu uczty rozeszli się do domów: Iwan z innymi poszedł do Szytikowa ścieżką przez las. Piotr pojechał drogą. Kto i kiedy Piotra zamordował, nikt nie umiał (bo nie chciał) wskazać. Sędzia śledczy umorzył

sprawę dla braku dowodów, choć spotkany przeze mnie u sędziego Orłowskiego⁵ w Bołotnem powiadał, że bez wątpienia Piotr został zabity przez Iwana Terentjewicza.

Podczas mobilizacji rezerwistów Iwan był wzięty do wojska i w parę dni zmarł nagle w koszarach.

O „naglej” śmierci pewnego młodego aresztanta opowiadał p. Antoni, zesłaniec rodem z okolic Będzina, osiadły od 1898 r. w Pirowsku. W wielkiej celi więzienia etapowego, w której p. Antoni wraz z wieloma katorżanami i innymi aresztantami oczekiwał wyruszenia w dalszą drogę, siedział jakiś młody chłop, czerstwy, zdrowy. Jeden z katorżan, skazany za koniokradztwo, poznał w nim „kapusia”, co oznacza w języku złodziejskim świadka, zeznającego na niekorzyść podsądnego.

– To przez tego podłego kapusia dostałem katorgę i osiedlenie w Jakutach – zwierzył się w tajemnicy przed innym więźniem.

Założono zaraz sąd doraźny. Wyrok zaoczny zapadł natychmiast.

Ktoś zaproponował gry towarzyskie. Gry aresztantów cechuje przede wszystkim sadyzm, uciecha z wyrządzonej ofierze przykrości lub bólu. Zaproponowana gra „salonowa” (nosząca nazwę nieparlamentarną) zasadza się na tym, że jeden z uczestników, wybrany losiem, trzymając nakrytą głowę na narach lub stołku, zgaduje kto go z zebranych stojących obok półkolem, uderzył. Jeśli zgadnie, bijący kładzie się na jego miejscu, jeśli nie zgadnie, naraża się na dalsze uderzenia.

Kapusiowi zabawa się spodobała. Gdy wypadło mu się położyć, był pewien, że wytrzyma najcięższy cios. Stanął twardo z rozkraczonymi nogami. Głowę oparł na narach, grzbiet wyprężył. Podsunął się najtęższy z katorżan. W rękach trzymał końce ręcznika, w który zawinięta była cegła. Z całej siły wyrzwał chłopą w krzyże. Ten jęknął, zwałił się na ziemię, oczy wywrócił i skonał.

Zapukano do drzwi na dozorcę. Krótko zameldowano:

– Zachorował, upadł.

Wyniesiono trupa. W rejestrze odnotowano: zmarł nagłą śmiercią z niewiadomej przyczyny.

⁵ Po wyjeździe z Bołotnego słyszałem, jakoby sędzia Orłowski był Polakiem. Jednak w rozmowie ze mną nigdy się z tym ani słówkiem nie zdradzał, choć dobrze wiedział, że jestem też Polakiem.

21. Siemion

Terentij pochodził z ubogiej rodziny czałdońskiej. Gdy wrócił z wojska z pieniędzmi, dobrobyt jego i jego braci zaczął się szybko zwiększać. Terentij stał się wkrótce „bogaczem” – kułakiem wioskowym, Izot prowadził wzorowe gospodarstwo rolne, Jegor handlował końmi. O czwartym bracie Siemionie przez długi czas we wsi opowiadano, ale dokładnie nie wiedziano, gdzie się obraca. Nareszcie w 1918 r. wrócił niespodziewanie. Był przez szesnaście lat w Mandżurii, w Chinach, w Japonii, ale pieniędzy stamtąd nie przywiózł. Nie powodziło mu się w życiu.

Wybudował sobie chatę obok domu, w którym od roku mieszkałem, zajął się uprawą roli. Choć był mi najbliższym sąsiadem, nie byłem skory nawiązywać z nim sąsiedzkich stosunków. Siemion też nie zbliżał się do mnie. Zresztą był wciąż pochłonięty pracą na swym nowym gospodarstwie, a z opowiadaniem swych dawnych przeżyć był w ogóle bardzo powściągliwy. Raz tylko wdał się przy robocie w dłuższą rozmowę z moją żoną. Zgadało się coś o strachu. Siemion powiedział:

– Nie byłem i nie jestem tchórzem, nie boję się niczego. Ale raz w życiu zaznałem strachu takiego, że i wrogowi nie życzę.

Domyślaliśmy się, jakie przejścia miał Siemion na myśli. Z uprzednich opowiadań sztytikowskich mieszkańców wiedzieliśmy, co skłoniło Siemiona przed kilkunastu laty do wyemigrowania ze wsi.

Na wiosnę Siemion przyjął robotnika. Według ogólnego zwyczaju robotnik u czałdona, zwykle biedny bezdomny nędzarz-zesłaniec, otrzymywał za całe lato w naturze przyodziewek – buty, spodnie, parę koszul, rękawice robocze, czapczynę – i gotówką 40–60 rubli. W razie zimna wdziewał gospodarską starą kapotę „ponitok” lub stary kozuch. Jadał z gospodarzami, sypiał we wspólnej izbie na podłodze. Służył od wczesnej wiosny do „Pokrowa”, czyli do święta Matki Boskiej Pokrowskiej, to jest do pierwszego października starego stylu, gdy roboty polne są skończone, a zima się już ustaliła. W zimie najmował się do młócki lub innej roboty na dniówki albo głodował. Niektórzy, mając trochę zapracowanej gotówki, udawali się do miasta na zarobki lub ciągnęli, pędzeni tęsknotą, w strony rodzinne.

Parobek przesłużył u Siemiona całe lato. Gdy nadszedł „Pokrow”, poprosił o wypłacenie czterdziestu rubli. Siemion zwrócił się do niego z poczciwą miną:

– Jeżeli chcesz, zaraz ci zapłacę. Ale czego się tak spieszysz? Czym prędzej pieniądze dostaniesz, tym prędzej je przejesz lub przepu-

ścisz i do wiosny ci nie starczy. Mam trochę roboty dla ciebie. Zostań jeszcze kilka dni. Wyrzucisz nawóz ze stajni i porobisz inne obrządki. Nie przepracujesz się, a najesz się i wyśpisz w cieple. A kiedy będziesz chciał, to odejdziesz. Przy odchodnem oddam ci 40 rubli i jeszcze wódką poczęstuję.

Parobek wziął się do pracy. Po paru dniach znowu poprosił o zapłatę.

– Zostań jeszcze przez jutro! Wywieziesz nawóz na „otwał”, a wieczorem pieniądze ci wypłacę i pójdziesz dokąd chcesz.

Parobek przystał. Położył się spać. Siemion wyrznął śpiącego pałą w łeb.

Było jeszcze dość wcześnie, ludzie jeszcze po wsi chodzili. Z wywiezieniem trupa trzeba było poczekać.

Siemion rzucił zabitego do piwnicy pod izbę, do „podpolja”, jak ją nazywają. Zgasił światło, położył się na podłodze. Po pewnym czasie usłyszał jak gdyby lekki szmer w podpolju. Zanepokojony – nasłuchuje. Choć w izbie ciemno, widać wyraźnie jak wieko od podpolja się podnosi i wylazi zamordowany robotnik. Twarz biała, trupia, głowa okrwawiona. Chwiejnymi krokami zbliża się do Siemiona. Zatrzymuje się. Słaniając się na nogach, powiada cichym, jakby dławionym przez łąkanie głosem:

– Siemionie! Gospodarzu! Coś mi ty uczynił? I za co? Czy zawiniłem ci? Czy skrzywdziłem cię, zrobiłem ci szkodę? Pracowałem ci przez lato, jak bratu, jak ojcu rodzonemu. A tyś, jakeś mi odpłacił? Ja – biedak, nędzarz, tułacz – nie miałem nic. Jedno tylko miałem życie i tylko do niego wartość przywiązywałem. I tyś mi go, gospodarzu, odebrał. Jedyłą moją własność! I za co, gospodarzu? Co ci, Siemionie, zawiniłem?

Siemion zrywa się. Włosy mu na głowie ze strachu stanęły. Widzi jeszcze przed sobą trupią twarz robotnika, okrwawione ciemne, straszne, pełne zgrozy oczy. Czuje ciężki jego oddech.

Siemion pędzi, gnany niewypowiedzianym strachem, do drzwi, wybiega na podwórze. Uszy ma jeszcze pełne wołania:

– I za co, gospodarzu?.....Co ci, Siemionie, zawiniłem?!

Siemionowi zdaje się, że ze wszystkich stron słyszy głosy:

– Jedyłą wartość ludzką, życie, odebrałeś! I za co, Siemionie, gospodarzu?

Zdaje mu się, że słyszy zbliżające się kroki ludzkie, że sąsiedzi wiedzą już o jego zbrodni, że idą go łapać i wiązać.

Choć po chwili Siemion oprzytomniał, jednak zaniechał zamiaru wywiezienia tej nocy trupa, leżącego w podpolju, w obawie, aby kto nie zobaczył, żeby się nie wydało. Obawiał się sądu i kary. Rad by uciec ze wsi. Przez cały dzień następny unikał spotkania z ludźmi. Znaczną ulgę uczuł dopiero, gdy się ściemniło i gwar na ulicy ucichł. Znużony położył się na podłodze. Usnął. I znowu przyśnił mu się zamordowany robotnik. Staje przed nim z okrwawioną głową i wypowiada mu znowu zbrodnię:

– Czemuś to uczynił, gospodarzu? Czemuś mi wydarł życie, jedyną własność biednego zesłańca? Za moją uczciwą pracę odwdzieczyłeś się tak okrutnie!

I zda się, parobek pada na niego, przygniata go swym ciężarem. Siemion czuje zimno jego trupiego ciała, odpycha go, szamocze się. Wreszcie wyrwał się i ucieka z izby w najwyższym strachu.

Noc jeszcze głucha, wieś śpi. Ale Siemionowi zdaje się, że słyszy zgiełk, tupot. To własne jego serce kołacze w piersiach ze strachu. Siemion nie zdaje sobie z niczego sprawy. Nie ma odwagi zaprząć konia i wywieźć trupa. Boi się, aby kto nie zobaczył.

I znowu przeszedł dzień, a zdenerwowanie Siemiona wciąż się wzmagają.

Na trzecią noc zamordowany robotnik znowu się ukazał we śnie Siemionowi ze strasznym wyrzutem:

– Czemu mnie zabiłeś, gospodarzu?

Siemion zrywa się z posłania, wybiega na dwór. Nie zważa na nic. Na gwałt zaprzęga konia, nakłada na sanie trochę nawozu, wynosi z podpolja trupa, rzuca na wierzch i jedzie na wieś „na otwał”.

Pokryta warstwą żyznego czarnoziemiu ziemia Syberii i bez nawozu rodzi obficie. Naturalnie nie wiecznie, nie co rok jednakowo. Po kilku urodzajach, jak i wszędzie, gdzie nie stosują płodozmianu, jałowiej, nie wydaje należytego plonu. Zostaje wtedy „zapuszczona”, pozostawiona bez uprawy – pod ugorem – przez lat kilkanaście. Porasta trawą, drzewkami. I dopiero gdy stwardnieje, jak ubita droga, będzie znowu zaorana i bez nawożenia daje znowu znakomite zbiory.

Ponieważ cząłdoni trzymają liczny żywy inwentarz, muszą przede wszystkim od czasu do czasu wywozić z zagród nagromadzony nawóz. Zrzucają go tuż za ostatnimi chatami w lasku, w bliskim wąwozie lub na urwistym brzegu rzeki. Po pewnym czasie tworzą się w tych miejscach wielkie masy, całe góry guana. Takie miejsca noszą nazwę „otwał”.

Siemion szczęśliwie wyjechał za wieś, nikogo nie spotkał na drodze. Wtem ku swemu przerażeniu słyszy za sobą dzwonki. Chłopi już jadą w pole. Akurat po tej samej drodze, w tę sama stronę! Aby nie być spotkanym, Siemion ledwo dojechał do otwaju, zwałił trupa i nawóz na kupę i umknął w krzaki, a stamtąd, kołując przez zarośla, wrócił do domu.

Jadący cząłdoni zauważyli na drodze świeże ślady.

– Ho, ho! Kury jeszcze nie piały, do północy daleko. Myśleliśmy, że wieś jeszcze śpi, a okazuje się, ktoś już wcześniej od nas wyjechał – dziwią się cząłdoni. Pracowity! – To ci ranny ptaszek! Patrzajcie-no! Już nawóz wywiózł! Ale co to? Z nawozem wyrzucił i buty!

– Jako żywo! Wyraźnie widać buty! Nawet dobre jeszcze! – powiada cząłdon z drugich sań. Przydadzą się!

Zatrzymano konie. Jeden z cząłdonów pobiegł po buty. Schwycił ręką za jeden but, sięgnął po drugi. Wtem krzyknął:

– Chodźcie-no! Prędeż! To nie tylko buty! W butach nogi ludzkie!

Paru pozostałych na saniach chłopów czym prędzej biegną zobaczyć.

– Toć to robotnik Siemiona! No! No! Już wiemy, kto pierwszy we wsi wstaje do roboty! Ale też i dumny ten Siemion! Zrobić umiał, ale schować nie potrafił!

Jako dobrzy sąsiedzi, cząłdoni przykryli trupa jako tako nawozem i śniegiem, aby nie był widoczny, udeptali nogami, wskoczyli na sanie i pojechali w pole.

Pola orne, sianokosy, nawet las odpowiedni do użytku ludzkiego, gdzie drzewa bez sęków – ani za cienkie, ani zbyt grube – nadają się na drwa lub budulec, położone są przeważnie daleko za wsią o kilka lub kilkanaście, nierzadko o kilkadziesiąt wiorst. O zwiezenie w lecie z takiej odległości drew, siana czy snopów mowy być nie może. Dopiero gdy śniegi spadną, ale nie są jeszcze zbyt głębokie, chłopi jadą na noc w pole. Wstają około północy, piją czaj, zaprzęgają konie i wyjeżdżają. Na pierwszych saniach woźnica uważa na drogę, na innych chłopi otuleni w kożuchy i dochy, drzemią. Konie idą gęsto stępa. Około wschodu słońca przyjeżdżają na miejsce. Ładowanie na sanie, niejednokrotnie przy płonących ogniskach, trwa jakiś czas. Gdy się dobrze rozwidni, ruszają w powrotną drogę, aby jeszcze za dnia zdążyć do domu.

Gdy chłopi, którzy widzieli trupa na otwale, wrócili po południu do wsi, wieść o zbrodni Siemiona szybko rozniosła się między czął-

donami. Śmiano się powszechnie, żartowano, że głupi Siemion „zrobić umiał, ale schować nie potrafił”. Tylko Siemion się nie śmiał. Bał się zdrady, sądu i kary.

Właśnie niedawno, przed kilkoma zaledwie laty, zreformowano na Syberii sądownictwo. Zamiast dotychczasowych sądów gminnych, w których sędziowie, wybierani spośród miejscowych gospodarzy wydawali wyroki „według swego sumienia i rozumienia”, czyli zależnie od ilości otrzymanych od sądzonych „półbutelek” wódki, zaprowadzone zostały teraz sądy pokoju i okręgowe z całym sztabem wykształconych sędziów zawodowych i prokuratorów. Sybiryacy w ogóle nie byli nigdy zbyt lojalni względem cara i jego rządów. Reforma sądownictwa wywołała powszechną krytykę i oburzenie:

– Co za korzyść z tego? Utrzymywać tylu niepotrzebnych urzędników! Tylko koszt zbyt wielki! A podatki i ciężary wciąż większe! Wytrzymać nie sposób!

Siemion kłął świat cały, a przede wszystkim „głupie porządki”, sędziów i policję. Wreszcie postanowił uciec jak najdalej, gdzie tak strasznie ludzi nie prześladują, nie gnębią. Sprzedał za bezcen swoją gospodarzę bratu Terentijowi i powędrował na Daleki Wschód.

22. Tak robili dziadowie i ojcowie

Jako potomkowie przeważnie bandytów i zbójów, czałdoni syberyjscy na ogół mało cenili cudze życie. Dla najmniejszej korzyści, nieraz wręcz jakby dla sportu, dla zaspokojenia jakiejś niezrozumiałej żądzy krwi, z jakichś niezbadanych pobudek zbrodniczych dopuszczają się morderstwa. Taką już mają naturę, taki charakter! Złożyły się na to różne przyczyny. Przede wszystkim atawizm, dziedziczność cech po swych przodkach, a poza tym warunki, w jakich przez długie czasy żyli, ciężkie zmaganie się o byt, obcowanie ze zbrodniarzami wypuszczonymi na osiedlenie z katorgi, wreszcie tradycje: „Tak robili nasi dziadowie i ojcowie, tak my robimy i tak nasze dzieci i wnucy będą robili!”.

Przed reformą sądownictwa (około 1895 r.) panowało tutaj wszechwładnie prawo pięści, prawo silniejszego i prawo zemsty. Władze policyjne – przystawy i urzadnicy – dawali jaskrawy przykład samowoli, nadużyć i okrucieństwa w stosunku do rzadko rozsiadłej ludności w ogóle, a do pozbawionych praw, zdanych na łaskę i niełaskę zesłanych przestępców w szczególności. Przez wiele dziesiątków lat katorżanie i osiedleńcy traktowani byli gorzej od zwierząt domowych.

Za byle co podlegali chłóście i znęcaniu się fizycznemu i moralnemu. W razie oporu, najmniejszego odruchu nie poddawania się okrutnemu losowi, bezlitośnie byli mordowani. Władze więzienne i policyjne, nawet starosta wioskowy, mieli prawo skazywania zesłańców na 30 różeg. A że podczas egzekucji zwykle nie liczono razów lub mylono się, to katowany otrzymywał nierzadko po kilkaset uderzeń. Apelacji nie było, a skargi nie pomagały. Na rozkaz zwyrodniałego dozorczy więziennego czy policjanta posypywano rany na ciele bezbronnej ofiary solą, batożono tak, że niejeden nieszczęśnik stawał się po egzekucji kaleką na resztę życia lub wręcz pod batami ducha wyzionął.

A władze administracyjne tolerowały barbarzyństwo, nawet do niego zachęcały, pozostawiając skargi o samowolę i nadużycia bez skutku⁶, wypłacając za zabicie zbiegłego z więzienia aresztanta nagrody pieniężne (do 3 rubli).

⁶ Do kancelarii pristawa [naczelnik policji – przyp. red.] Zar.‘a. przyszedł nieznajomy interesant o dość inteligentnym wyglądzie, który się od pierwszego wejrzenia nie podobał pristawowi.

– Ty kto? – pyta Zar.

Przybysz wymienił nazwisko.

– Aha! Ja na ciebie czekałem. Dać mu 50 różeg!

– Za co? Co zawiniłem? Zresztą mnie bić nie wolno, bo jestem pełnoprawnym mieszkańcem irkuckim.

– Właśnie dlatego dostaniesz różgi. A ponieważ kary z pokorą nie przyjmujesz, a dużo gadasz, to otrzymasz nie 50, a 300 różeg, z tego 100 cienkimi końcami, 100 środkami, a 100 grubymi końcami.

Wyrok natychmiast wykonano. Poszkodowany podał skargę do irkuckiego generał-gubernatora hr. Ignatjewa; po ośmiu latach dostał zawiadomienie o pozostawieniu skargi bez skutku z powodu śmierci pristawa Zar.‘a.

Nareszcie skończyło się bezkarne przez wiele lat maltretowanie ludności przez samowolnego pristawa! Koniec był tragiczny.

Zdarzyło się, że w szynku pewnego zamożnego Tatara zesłańca wynikła pomiędzy pijanymi drobna awantura czy bójka. Zar. skazał za to szynkarza doraźnie na 25 różeg i natychmiastowe wysiedlenie z miejsca pobytu, chcąc go podobno jedynie nastraszyć w nadziei dostania od Tatara okupu w wysokości 100 rubli. Delikwent dał sekretarzowi 25 rubli łapówki za załatwienie sprawy, a pristawa błagał na klęczkach o darowanie kary, przyrzekając natychmiast wyjechać wedle rozkazu. Gdy błagania nie poskutkowały, wy dobył z zanadru rewolwer i celnym strzałem położył pristawa Zar.‘a trupem (1892 r.). Za zabójstwo Tatar został powieszony.

Trzeba nadmienić, że Zar. nie należał bynajmniej do rzędu najbardziej samowolnych i okrutnych satrapów syberyjskich. Było wielu od niego gorszych. (Ze wspomnień mego brata Aleksandra z pobytu w Witimie nad Leną w 1896 r.).

Takie traktowanie ludzi, taka metoda, taka szkoła musiały demoralizująco wpływać na mieszkańców, wywołać zubożenie na cudzą krzywdę i przyczynić się do spotęgowania zwyrodniałych instynktów.

Przy obcych ludziach, przybyszach, a przede wszystkim przy inteligentach, czałdoni naturalnie nie zdradzają swych zbójceckich zapatrywań i popędów, ale w zaufanym kółku, przy kieliszku nie ukrywają ich bynajmniej.

O ciekawej dyspucie, jaką miał ze starym czałdonem, opowiadał mi Stepan Dektarenko, nowosioł w Szytikowie. Znałem go od lat kilku. Energiczny, młody, rozumny chłop. W wojsku służył w Rydze w konnicy, był ordynansem u generała. Jako pamiątkę z tych czasów pokazywał swoją fotografię w mundurze żołnierskim na wspinałej generalskiej klaczy. Z natury zdolny i sprytny, nabrał oglądy w domu generała i doświadczenia między obcymi. Miał zdrowy sąd o rzeczach, lubił pokazywać swą wyższą od innych chłopów inteligencję i chwalić się swymi wiadomościami.

– Dużo widziałem na świecie – powiadał – dużo książek czytałem. Czytałem nawet o faraonach egipskich!

Skoro czytał nawet o faraonach egipskich, czyż może się ktoś z nim rozumem mierzyć?

Stepan był emigrantem z Mohylowskiej guberni i choć pragnął uchodzić za Wielkorusa i chętnie przekreślał swe nazwisko Dekarenko na Dekarew, był mi jednak bliższy kulturą niż rdzenni Rosjanie lub syberyjscy czałdoni i dlatego łatwiej mi było dojść z nim do porozumienia, znaleźć „wspólny język” niż z innymi chłopami. Toteż gdy przez 2 lata byłem zmuszony mieszkać w Szytikowie, wolałem mieć z nim sprawy, spotykać się, rozmawiać niż z kim innym. Gdy w naszych okolicach zabrakło w sprzedaży soli kuchennej, zmówiliśmy się obaj i pojechali po sól końmi do powiatu barnaulskiego gdzie, jak wiedziałem, były słone jeziora (Kułunda – o mniej więcej 500 wiorst od Szytikowa). Dla skrócenia czasu w podróży gawędziliśmy jadąc, o tym i o owym. Zgadało się m.in. i o naszych sąsiadach czałdonach.

– Znacie – powiada Stepan – starego Feodora?

– Jakżeż nie mam znać! Mieszka w małej chatce obok domu Terentija. Kupiłem u niego owcze skóry, z których mam kozuch na sobie. Nazywają go powszechnie „diadią”⁷ Feodorem. Miły starzec! Mały,

⁷ *Diadia* – wuj, wujaszek, przydomek nadawany szanowanym starcom.

szczupły, o dużej łysej głowie, długiej siwej brodzie i poczciwej twarzy. Istny krasnoludek z bajki!

– Tak, ten sam! Rozmawiałem z nim raz pewnego dłuższy kawałek czasu przy kieliszku. Opowiadał mi m.in. o swym siostrzeńcu Michale kuternodze. Może wiecie, który to?

– Wiem! wiem! Miszka-kosołapyj! Pijanica! Słyszałem, że przepił całą swą gospodarkę, a teraz reperuje czałdońskie trzewiki „czirki” i co zarobi, to przepije. Ma już przeszło czterdzieści lat.

– Ten sam! Otóż o nim opowiadał mi diadia Feodor.

Jeszcze dzisiaj, po tylu latach, przedstawiam sobie starego „diadię” Feodora, jak opowiada Stepanowi z całą powagą starca, powolutku, słowo za słowem, z przerwami między zdaniami; jak przy tym głaszcze ręką swą długą brodę, a drugą ręką gładzi czasem łysinę; jak mile patrzają jego łagodne niebieskie oczy; jak uśmiecha się dobrotliwie i jak słodko płyną z ust jego słowa:

– Tak się jakoś stało, nie wiem nawet, dlaczego, ale od dawna już nie lubiłem swego siostrzeńca Miskę-kuternogę. Co tu dużo mówić! Po prostu nienawidziłem go. Obrzydł mi wreszcie tak, że myślę sobie: trzeba z nim skończyć! Więc zaprosiłem go raz do siebie wieczorem na wódkę. Gdy przyszedł, nalałem mu szklanę spirytusu. Jak Miszka wypił ten spirytus, to i zwałił się pod ławę. Ale i ja, głupi, też wypilem i też się zwałem. A baba, że to rozumna kobieta – owinęła Miskę w połowiki⁸ i wsunęła pod łóżko. I budzi mnie po jakimś czasie:

– Feodor! A, Feodor! Wstawaj! Już pora!

Naciągnąłem kozuch, wychodzę na dwór. Rozglądam się. Nie! Jeszcze wcześniej! Więc wróciłem do chaty i położyłem się jeszcze spać. A niezadługo baba szturcha mnie znowu:

– Feodor! No, Feodor! Wstawaj! Już pora!

Podniosłem się, wyszedłem na podwórze. Patrząc: gwiazdy już bledną, wkrótce będzie świtać! Zaprzęgiem kobyłę do sań, postawiłem na saniach kadź do wody, wróciłem do izby, wyciągnąłem spod łóżka Miskę, owiniętego w połowiki, wynoszę go z chaty i pakuję do kadzi. A mój Miszka wywala na mnie ślepią!

– Hospodi Boże! Pomitu! – żegnam się znakiem Krzyża Świętego. To ty, Miszka, żyjesz jeszcze? Hospodi Boże, pomitu!

– A tyś, co myślał, wujku Feodorze?

⁸ *Połowiki* – wielkie, grube płótno samodziałowe, rozpościerane na podłodze jak dywan.

- No, nic! Nic! Wyłaź! Wyłaź!
A Miszka wciąż wytrzeszcza oczy.
- Czy naprawdę, diadia Feodor, myślałeś, że nie żyję, i chciałeś mnie wrzucić do skarąbla?
- No, nie gadaj po próżnicy! Wyłaź! Wyłaź! Chodź do izby, napijemy się!
- Czy naprawdę, diadia Feodor – zapytuje Stepan – miałeś zamiar wieść siostrzeńca Miskę na rzekę i wpuścić pod lód?
- A bo co?
- Zabić człowieka i utopić! Do tego własnego siostrzeńca!
- No i czy co nadzwyczajnego?
- Jakże to nic nadzwyczajnego! Z zimna krwią wrzucić człowieka do skarąbla?! Utopić! Toż to zbrodnia!
- Eh! co tam gadasz, sąsiedzie Stepanie! Jaka zbrodnia? Czy to ja pierwszy i ostatni? Tak robili nasi ojcowie i nasi dziadowie, tak my robimy i tak będą robili nasi synowie i nasze wnuki!
- Ależ to przecież grzech zabić człowieka!
- Eh, co znowu za grzech!? I ty sądzisz, Stepanie, że to grzech zabijać?! Grzech?! Skąd grzech?! Pomyśl, sąsiedzie! teraz – wojna, a tam na wojnie zabijają ludzi dziesiątki, setki, tysiące, może dziesiątki lub nawet setki tysięcy! A czy kto powie, że to grzech?! Ty zaś, Stepanie, twierdzisz, że grzech! Eh, eh! Jaki tam grzech!

23. Zbójcka psychologia

Takie zapatrywania, jak stary Feodor, mają nieomal wszyscy Sybiracy. Przecież są to przeważnie albo dobrowolnie na Syberię przybyli awanturnicy, albo wypuszczeni na osiedlenie z więzień i katorgi przestępcy lub wreszcie ich potomkowie. Odziedziczone po ojcach cechy charakteru i obcowanie z przestępcami, jak również i z autochtonami, siłą rzeczy wycisnęły pewne piętno na psychologii czeladników, a nawet i mieszkańców miast syberyjskich. Na niejedną sprawę Sybirak zgoła innymi patrzy oczami niż Europejczyk. Więźniów, skazańców uważa nie za wyrzutek społecznych, lecz jedynie za ludzi nieszczęśliwych, i zbrodnię traktuje pobłaźliwie. Dlatego też zbrodnie, o rozmaitym podkładzie, tak często miały na Syberii miejsce.

Szczególnie ludność osiadła w bliskości nielicznych traktów handlowych, mając częste okazje, dawała upust swym zbrodniczym instynktom. Wsie Asanowo, Szytikowo, Godunowo i Taskajewo, położone jedna obok drugiej przy zbiegu wielkiego traktu Moskiew-

skiego (z Irkucka do Moskwy) i traktu do Barnaulu i Bijska, cieszyły się bardzo złą reputacją. Strach było tędy przejeżdżać, szczególnie w nocy. Najprostszy i najczęściej stosowany sposób ograbiania podróżnych miewał mniej więcej następujący przebieg:

Czałdon chytrze indagował podróżnego, który u niego zatrzymał się dla wypoczynku lub zmiany koni (zajazdów, jak już wspominałem, po wsiach, nie było). Gdy wymiarkował, że gość ma przy sobie gotówkę lub cenne rzeczy, to wyjeżdżał naprzód i zasiadał na czatach w znanym mu dogodnym miejscu, na przykład w wąwozie, nad rzeczką, przy brodzie, wreszcie w lesie, gdzie droga była kiepska. Gdy podróżny nadjechał, czaldon napadał nań, zabijał, obdzierał. Bywał przy tym zazwyczaj w zмовie z woźnicą, najczęściej własnym swym synem lub bratem.

Po przeprowadzeniu kolei żelaznej z Czelabińska do Władywostoku (1904–1905) warunki zmieniły się radykalnie, ale psychologia ludzka niełatwo i nieprędko zmienić się może. Ilość okazji do grabieży i mordów zmniejszyła się, ale zbójce pozostali, takimi jak dawniej, zbójcami, za nic mającymi cudze życie, nie znającymi skrupułów, nie liczącymi się z niczym. Gdy nie stało bogatych podróżnych, mordowano każdego, kto się nawinał, o ile tylko morderca mógł liczyć, że jego zbrodnia się nie wyda i nie pociągnie za sobą kary.

Chodził po Szytikowie i po wsiach okolicznych biedny stary żebrak bezdomny. Stawał przed domem, patrzył błagalnie w okna, śpiewał. Dostawał kromkę chleba, niekiedy kubek mleka i chodził sobie dalej. Nikomu nic złego nie robił, nikomu nie zawadzał, każdemu ustępował. Zwyczajnie: żebrak-starowina. Pomimo to zabito go. Może miał w łachmanach zaszyte parę rubli na czarną godzinę? Może... Nikt nie dociekał, nie szukał zabójcy, nie dano znać do policji. Zwołano „starczyków” (zebranie gospodarzy), postanowiono pochować biedaka. Jeden z czaldonów, zwany zdrobniale Seliwanuszką, zaciągnął trupa do lasu, na polankę i wrzucił do wykopanego dołu. Na grobie postawił pusty koszyczek nieboszczyka. W kilka lat potem, gdy mieszkałem w Szytikowie, widziałem szczątki koszyczka pod jodełkami, przy ruczaju.

Swoista moralność syberyjska pozwala na dokonanie morderstwa nie tylko dla korzyści materialnych. Krwawa zemsta była w powszechnym zwyczaju, a krwawy wymiar sprawiedliwości, za błąd nawet występki, był praktykowany nie tylko przez okrutnych dozorców w więzieniach i przez wszechwładnych przystawów w woło-

ściach, ale również i przez wszystkich Sybiraków, jeżeli tylko mogli być pewni bezkarności. I chępnio się niejako zbrodnią jak gdyby czynem słusznym, chwalebny, a w każdym bądź razie nie żałowano, nie wstydzono się. Stary Feodor nie krył się bynajmniej, że zwałił podstępnie do swego domu Miskę-kuternogę i spoił go, aby tym łatwiej utopić w rzece. Inny czałdon chwalił się przede mną, że zastrzelił człowieka, który mu ukraść czajnik do herbaty:

– Orałem sam jeden na zaimce niedaleko drogi. Gdy się konie zmęczyły, puściłem je na trawę i zabrałem się do gotowania herbaty. Jakżeż się zdziwiłem, gdy nie znalazłem czajnika na miejscu, gdzie go zostawił. Ktoś go ukraść. Nie było wątpliwości. I nie był to widać człowiek głodny, bo torba z chlebem leżała nietknięta. Nie namyślając się, złapałem berdanę⁹, wskoczyłem na konia i pędzę drogą. Przede mną idzie sobie najspokojniej jakiś człowieczyna, niesie mój czajnik w rękę. Gdym podjechał, zmiarkował widać, co się świeci i chciał uciekać. Alem go dopędził i wypaliłem w łeb.

– Za czajnik? – pytam

– No tak. Przecież ukraść nie z głodu. Dostał kulę. Czajnik zabrałem. Herbaty ugotowałem.

Sam osądził, sam wyrok wykonał. I przypuszcza, że wszystko w porządku. Inni Sybiracy tak samo myślą i tak samo by w podobnym wypadku postąpili.

Jedynie ludność od dawna osiadła z dala od traktów ma nieco inne poglądy. W Białej, położonej przy szosie z Aczyńska do Jenisiejska, opowiadano, że tylko jeden jedyny Rodionow (właściwie Rodziewicz, polskiego pochodzenia) własną pracą na roli doszedł do względnego dobrobytu, inni zaś czałdoni dorobili się rozbojem. Natomiast o kilkadziesiąt wiorst, w Pirowsku, czałdoni byli na ogół spokojni, uczciwi. O morderstwach się tutaj prawie nie słyszało. Wiem tylko o jednym wypadku. Mianowicie: syn Matwieja Filipowicza poszedł na jesieni do tajgi na polowanie i więcej nie wrócił. Wszelkie poszukiwania nie dały wyników. Nie mógł go dziki zwierz zagryźć, bo by choć kości zostały. Bez wątpienia stał się ofiarą zbrodni. Posądzano powszechnie Maksyma Grigoriewicza i Jegora z Zielonej ulicy, że go zamordowali, bo Maksym i Jegor mieli swe „zakłady łowieckie” w sąsiedztwie zaginionego i tej jesieni przynieśli z tajgi więcej skórek niż inni myśliwcy.

⁹ *Berdana* – używana przez czałdonów strzelba myśliwska, przerobiona z karabinu dawnego typu.

24. Myślistwo na Syberii

Przez mieszkańców Syberii myślistwo traktowane jest nie jako sport i rozrywka, lecz jako przemysł dochodowy, a teren na którym Sybirak poluje, nazywa się „zakładem łowieckim” (po rosyjsku *zawod*), ponieważ tam są pozakładane potrzaski i pułapki na zwierza.

Przesadne jest mniemanie, rozpowszechnione w Europie, że Syberia obfituje w zwierzynę. Może tak było niegdyś i może tak jest jeszcze w górach i w niedostępnych dla człowieka tundrach i tajgach północnych. Okolice zamieszkałe przez człowieka są na ogół ubogie w zwierzynę i dzikie ptactwo. W promieniu paruset kilometrów od miasta Jenisejska, Krasnojarska i Tomska, których okolice poznałem, czyli na obszarze nie mniejszym niż powierzchnia Rzeczypospolitej Polskiej, bywa w lasach sporo – i to nie każdego roku – jedynie wiewiórek popielcowych, a soból, lis, wilk, niedźwiedź, jeleni, łos itp. są rzadkością. Przyczyną takiego ubóstwa w zwierzynę jest zapewne krótkość lata, a w jeszcze większej mierze – nieogłębność człowieka. Ileż to na przykład ptactwa i zwierzyny ginie co wiosną przy wypalaniu przez chłopów traw na stepach i w lasach lub podczas wielkich pożarów lasów na olbrzymich przestrzeniach!¹⁰

W bliskości osiedli ludzkich żyje w dość znacznej ilości zając-bielak, w lecie szary, a na zimę zmieniający futro na białe oraz biała kuropatwa i cietrzew. Może jest ich sporo dlatego, że myśliwcy ich nie strzelają, a tylko łapią w sidła lub potrzaski, bo nabój jest droższy niż np. zając, którego na Syberii nie jedzą, a samą skórę bardzo mało cenią.

W większej ilości zwierzyna, na którą się opłaca polować, żyje daleko od osiedli w głuchych tajgach. Czas łowów trwa około 6 tygodni, od końca zniw, które często odbywają się podczas silnej zawiei śnieżnej, aż do czasu, gdy głęboki śnieg w tajdze czyni chodzenie po lesie zbyt uciążliwym.

Przy końcu września, gdy roboty polne są na ukończeniu, gromadki myśliwców ciągną w różnych kierunkach do tajgi na „przemysły”¹¹. Jadą konno grupkami, po dwóch, trzech, czterech. Wiozą

¹⁰ W 1915 r. paliły się lasy między rzekami Jenisejem i Tomą na przestrzeni około 500 km wzdłuż. Pożar trwał 6 tygodni, a dymy zaścielały ziemię aż do Omska, czyli w promieniu kilkuset kilometrów.

¹¹ Niniejsze opowiadanie dotyczy wyżej wymienionych okolic Jenisejska, Krasnojarska i Tomska. Opisanie myślistwa w całej Syberii, która obszarem jest większa od Europy, wymagałoby zbyt wiele miejsca.

z sobą oprócz strzelby i naboju, topora i noża, także zapas chleba, sucharów i herbaty cegiełkowej na parę tygodni. Prowadzą psy-łajki, bez których powodzenie polowania w tajdze jest nie do pomyślenia.

Minąwszy ostatnie wsie, zapuszczają się znanymi sobie drogami i ścieżkami w głęboką tajgę, ten las dziewiczy, ciągnący się z małymi przerwami od gór Uralskich aż do Oceanu Spokojnego. Ujechawszy kilkadziesiąt, nierzadko 40–50 km od skraju lasu, myśliwcy zatrzymują się na nocleg na „przystani”. Tak nazywają miejsce w tajdze, dokąd można, nie napotykając większych przeszkód, dotrzeć nie tylko konno lub na saniach, ale nawet w lecie na wozie. Na przystani stoi zwykle kilka maleńkich, drewnianych chatenek, służących myśliwcom za czasowe schronisko. Za przystanią rozpościera się „prawdziwa” tajga, państwo wolnego, dzikiego zwierza, dokąd człowiek, nieproszony, jako intruz, rzadko tylko zagląda. I tylko na jesieni. Zimą, wiosną i latem zwierzęta leśne bezpiecznie zażywają tu swobody, bo myśliwiec ze swą śmiercionośną bronią palną i zdradzieckimi sidłami i potrzaskami ma dostęp utrudniony.

A jakżeż się tu na jesieni dostaje?

Dróg tu wprowadzie nie ma, ale od przystani prowadzą do tajgi ścieżki w licznych kierunkach. Dla niedoświadczonych oka są one niedostrzegalne, ale myśliwiec zna swoją ścieżkę dobrze, bo nieraz tędy szedł lub jechał konno. A zresztą zaciosy, zrobione siekierą na drzewach wskazują kierunek. Taka ścieżka długości znowu kilku, kilkunastu lub kilkadziesiąt kilometrów prowadzi do miejsca, które myśliwiec zajął na swój wyłączny użytek, jako wyłączną swoją posiadłość. Nikt mu jej nie wyznaczał, nikt granic nie wytyczał i nikt zapłaty nie żądał. Stwórca – jak chłopcy syberyjscy powiadają – stworzył stepy, lasy i rzeki, trawy, drzewa i wodę, zwierzęta, ptaki i ryby dla wszystkich ludzi, a przeto każdy człowiek bez pytania, ktokolwiek bądź, ma prawo używać tych darów bożych. Każdy człowiek – według praw syberyjskich – może obsiewać ziemię, kosić trawę, ścinać drzewa, polować na zwierzynę, gdzie mu się podoba. Jedno jest tylko tutaj ograniczenie, a mianowicie: nie wolno nikomu bezkarnie zabierać cudzą pracę. Jeśli ktoś np. wykarczował las, to tylko on, jego syn lub wnuk, a nie kto inny, ma prawo siać i zbierać w tym miejscu: jeżeli myśliwiec wytknął ścieżkę do pewnego miejsca w tajdze, postawił tam szałas lub chatkę myśliwską, a tem bardziej, jeżeli pozakładał potrzaski, to ten teren jest jego bezsprzeczną posiadłością, którą po nim przejmują jego synowie i wnukowie. I biada temu,

kto by się ośmielił polować na cudzym terytorjum. Prawy posiadacz nie będzie miał skrupułów posłać mu kulę, tem bardziej, że łupem jego stanie się broń, odzież i skórki zabitego.

Nam Europejczykom wydaje się to dziwnem i niepojętem, jak można wiedzieć, do kogo teren w tajdze należy, choć nie ma należyte wytkniętych granic. Ale cządoni pod tym względem się orientują, bo jest to dla nich żywotna sprawa. Podobnie Europejczycy, prowadząc interes handlowy lub przemysłowy, zdają sobie sprawę, komu i w jakim stopniu robią konkurencję, choć przecież granice działalności handlowej nie są ściśle zakreślone.

Dla większego bezpieczeństwa myśliwcy polują zwykle po dwóch lub trzech na jednym terenie. Polowanie zasadza się na zakładaniu potrzasków i doglądaniu, czy się w nie dostały drobne zwierzątka: gronostaj, tchórz, soból. Przy obchodzeniu „zakładu” myśliwcom towarzyszą psy, z tak zwanej rasy łajek¹², które zwęszywszy dzikie zwierzę, dają o tem znać szczekaniem. Wprawne ucho myśliwca po głosie psa poznaje, jakie zwierzę zostało wytropione. Łajka innym głosem szczeka na sobola, a innym na wiewiórkę skaczącą po drzewie, a znowu innym, obojętnym głosem – na cietrzewia, na niedźwiedzia ujada zawzięcie a gniewnie, łosia zaś goni, poszczekując wesoło.

Przed kilkunastu laty, w okolicach gdzie mieszkałem, polowano prawie wyłącznie tylko na wiewiórkę popielcową, soból bywał rzadkością, czasem zdarzało się zabić niedźwiedzia, a jeszcze rzadziej łosia. Wiewiórka zamieszkuje w lecie niedostępne ostępy leśne i niezmiernie szybko się rozmnaża, a na jesieni rozchodzi się po tajdze, szukając pożywienia i zimowiska. Podczas tej wędrówki zmienia ubarwienie futerka z rudego na popielate.

Gdy łajka zwęszy popielicę lub inne zwierzę, szczeka, dopóki nie nadejdzie myśliwiec.

Niełatwo człowiekowi dostrzec wiewiórkę na drzewie. Nieraz myśliwiec dużo traci czasu, aż ją zobaczy między gałęziami. Ale wtedy los jej jest przesądzony. Cządon długo celuje ze swej strzelby, ale celu nie chybia. Zabiją wiewiórkę obdziera za skóry, a mięso rzuca psom.

W połowie października ustala się prawdziwa zima: śnieg nie topnieje na polach, mróz jest zjawiskiem codziennym. Ale myśliwcy w tajdze nic sobie z mrozu nie robią, są zahartowani, a i okryci za-

¹² Po rosyjsku *łajat'* znaczy szczekać.

zwyczaj odpowiednio. Nawet wielkie mrozy po 40–50 stopni C dla Sybiraka nie są straszne. Jednak, gdy duże mrozy nastaną, w tajdze nie ma co robić. Dni są krótkie, pochmurne, noce prędko zapadają, śnieg często pada i pokrywa ziemię grubą warstwą, po której człowiekowi, a w szczególności psu, trudno chodzić. Myśliwiec musi zaniechać „przemysłu”. Obchodzi ostatni raz potrzaski, układa upolowane skórki w węzełek, zabiera resztę chleba i herbaty, gasi ogień w chateńce i dąży do przystani.

Schodzą się tam po trochu wszyscy myśliwcy z okolicznych „zakładów”. Przystań ożywa na kilka dni. Słychać gwar, szczekanie psów. Myśliwcy odpoczywają, reperują obuwie i odzież, odwiedzają się nawzajem w swoich małych chatkach, opowiadają swoje przygody myśliwskie. Niebawem nadjeżdżają sanie ze wsi po któregoś z myśliwców. Obstępuje je cała gromada.

– Co we wsi słychać? Czy wszyscy zdrowi?

– Zdrowi, chwała Bogu. Czekają na was z kołaczami.

Za pierwszymi saniami przyjeżdżają wkrótce następne. Po paru dniach przystań opustoszała, tajgę zaległa cisza aż do przyszłej jesieni.

25. Łowy na łosia

Główną rolę w łowach na łosia odgrywa nie myśliwiec, lecz pies, przytem nie wszystkie psy nadają się do tego polowania, a tylko niektóre, bardzo nieliczne. Właśnie mój pies stanowił taki wyjątkowy okaz i opisując polowanie na łosie, kreślę zarazem wspomnienia po moim psie.

Przywiozłem go, gdy był małym szczeniakiem, konno z sąsiedniej wsi. Nazwałem go Tumry. Był bardzo przywiązany do mej rodziny i bardzo łagodny. Nieraz całymi godzinami bawił się z moim małym synkiem i cierpliwie znosił, gdy ten kładł się na nim lub wsiadał na niego jak na konia.

Tumry bardzo lubił się bawić. Często zbyt kował nie tylko z innymi psami, ale i z kotem, a gdy złapał kurczę, to wylizywał go językiem, trzymając przednimi łapami, tak że wyglądało jak gdyby wyjęte z kąpieli.

Szczególnie lubił konie. Spał w stajni, a gdym siodłał lub zaprzęgał konia, nie odstępował go i łaścił się do mnie, jak gdyby prosząc abym zabrał go z sobą. Jeżeli go brałem, nie posiadał się z radości: biegł naprzód wesoło poszczekując, skakał koniowi do pyska.

Tumry lubił także krowy. Zaprzyjaźnił się z panem Antonim¹³, pasterzem wioskowym, i często, nie wołany przez niego, szedł z nim razem na pastwisko i pomagał zaganiać bydło, które się od stada odłączyło. Nie wiedziałem i nie przypuszczałem, że w tym niezwykłym zamiłowaniu mego psa do zwierząt krył się wielki talent psi do łowów na łosia.

Mój sąsiad Paweł Jermołajewicz, wybierając się jesienią 1913 roku do tajgi na łowy, prosił mnie, abym mu pozwolił wziąć ze sobą mego Tumrego. Paweł był porządny chłop, szanowany we wsi za swoją uczciwość. Nieraz wyrządził mi drobną przysługę. Nie mogłem mu odmówić.

Tumry poszedł z Pawłem.

Jak zwykle na łowach, Paweł obchodził swoją część tajgi, czyli tak zwany „zakład łowiecki”, sprawdzając potrzaski, a psy biegały w pewnym oddaleniu, tropiąc zwierzynę, przeważnie popielice. Dobry pies, zwietrzywszy zdobycz, szczeka dopóty, aż nadejdzie myśliwiec. Tumry postępował inaczej. Gdy wytropił wiewiórkę lub inne małe zwierzątko, szczeknął parę razy i kładł się pod drzewem lub szedł sobie obojętnie dalej. Może uważał, że wiewiórka lub tchórz – to takie małe kotki, miłe do zabawy, a szczekać na nie nie trzeba, bo się boją hałasu. A może czuł w sobie powołanie do wielkich czynów łowieckich i wyczekiwał sposobności do osiągnięcia większych sukcesów. Paweł nie wnikał w psie motywy i, uważając Tumrego za próżniaka i darmożjadę, żałował, że go wziął ze sobą do tajgi. Ale niebawem Tumry wynagrodził mu chwilowy zawód i stokrotnie odwdzieczył się za otrzymane pożywienie.

Pewnego dnia Paweł usłyszał niezwykle wesołe szczekanie Tumrego w gęstwinie. Głos oddalał się szybko. Paweł zrozumiał, co to znaczy: Tumry wytropił łosia na bagnie. Ucieszony popędził za głosem Tumrego. Upolować łosia – to gratka dla myśliwca nie lada. Skóra warta ze 40 rubli, a mięsa będzie ze 300 kg, a może i więcej. Łoś – duże zwierzę, ale też i czujne niezwykle: podejść się nie da. Choć Tumry wobec łosia mała kruszyna – a wygląda tak ładnie i szczeka tak wesoło i przyjaźnie – łoś mu nie dowierza. Porzuca obfite żerowisko i pędzi, jak wiatr przez zarośla, przesadza przez zwalonne kłody, jak ryba płynie po wodzie, na kolanach przebywa grząskie moczary. Przebiegł kilometr, dwa, może trzy lub więcej. Zatrzymał

¹³ Pan Antoni, rodem z okolic Będzina, zesłany na Syberię około 1898 r.

się, odetchnął: skubie trawę. Śnieg racicami rozgrzebuje. Z dala słychać szczekanie. Głos przybliża się coraz więcej. Z lasu wybiega mały, czarny zwierz. To Tumry. Ale łoś nie wie, że to nasz mały, poczciwy pies. Myśli, że to drapieżnik, może czarny wilk. Więc ucieka. Choć Tumry nie wygląda groźnie, ma wesołe oczy i lśniące futro, i szczeka łagodnie, jak gdyby chciał powiedzieć: „Nie bój się łośiu. Nie ugryzę cię. Ja nie wróg, lecz przyjaciel zwierząt. Zatrzymaj się, pobawimy się, pozbytkujemy” – jednak łoś jeszcze nie wierzy, pędzi przez kłody i krzaki...

Zatrzymał się.

Pies – już przy nim.

Czego on chce? – łoś sobie myśli. Nie rzuca się na mnie, tylko skacze przede mną. Oj, nie. Chciał mnie złapać za nogę.

Łoś kopnął nogą, ale pies odskoczył. Lecz łoś się zląkł i znowu ucieka. A Tumry – już przed nim. Skacze łośiowi do pyska. Jaki zgrabny i figlarny! Czeka, pokażę ci figle – myśli łoś i rogami uderza Tumrego.

Na szczęście pies odskoczył w bok, a jednak dostał rogiem trochę po skórze. Aż zaskowyczał.

Łoś się stropił. Nigdy takiego skomlenia nie słyszał. Dał susa. Przebiegł paręset kroków. Przystanął na polanie.

Pies przy nim. Nie zabity. Nie ranny. I nie gniewa się, zem go uderzył. Wesoły. Chce mu się zbytków. Poczciwy mały – myśli łoś i zaczyna igrać z Tumrym po swojemu. Potrząsa rogami, jakby chciał psa przebić, to zamierza się jednym rogiem, to drugim, kopie nogą, podskakuje do góry, nagle robi skok naprzód, cofa się w tył, to znów dęba staje. A Tumry wciąż skacze szczekając wesoło, uchyla się przed ciosami, chwytą łośia za nogi, to odskakuje, to przyskakuje.

Na chwilę przystali. Odpoczywają.

A myśliwiec tymczasem biegnie, co rychlej. Natrafił na ślady łośia; tuż przy nich na śniegu – ślady nóg Tumrego. Paweł rad, że upoluje łośia, z emocji i od szybkiego biegu zgrzał się. Odwiązuje szal z szyi, zdejmuje kożuch, nawet rękawice wiesza na krzaku. Biegnie w samej rubaszce. Gałęzie pokaleczyły mu twarz, rozdarły ubranie, a on biegnie wciąż naprzód. Przedziera się przez krzaki, przeskakuje przez kłody, potyka o korzenie, zapada w doły. Z dala dochodzi szczekanie psa, czasem głośniejsze z bliska, to znowu dalekie, ciche.

Zrazu szczekanie ucichło.

Znów słychać! Łoś i Tumry rozpoczęli przerwana zabawę. Ska-

czą, odskakują, przyskakują, wyprawiają najprzeróżniejsze piruety i łamańce, pokazują najrozmaitsze sztuki ekwilibrystyczne. Zajęci zabawą, zapomnieli o świecie całym, o tajdze, o niebezpieczeństwie, o myśliwcu...

A myśliwiec już blisko. Już podkrada się w ostatnich zaroślach okalających polankę. Po drodze wykręca z lufy nabój śrutowy, zakłada kulę. Opiera strzelbę o drzewko, celuje... Zabawa trwa w najlepsze. Łoś zwrócił się przodem do myśliwca, poczuł obecność człowieka. Chce uciekać...

Za późno!

Strzał pada, łoś wali się na ziemię trafiony kulą w piersi. Tumry usłyszał strzał, przypomina sobie o Pawle, biegnie do niego z wesołą wiadomością, że złowił łosia, radośnie merda ogonem.

Paweł głaszcze go.

– Zuch z ciebie, Tumry. Dobry pies. Ucieszony pies biegnie z powrotem na polanę do łosia. Ale łoś leży wyciągnięty, nieżywy. Tumry kładzie się przy jego głowie, liże łosia po pysku, z którego płynie krew, jeszcze ciepła, słonawa.

Tumremu żal łosia, ale nie rozumie, co zaszło. Wie, że ludzie to straszni czarodzieje, co z wydrażonego żelaznego kija mogą wyrzucać błyskawice i pioruny i zabijać nimi ptaki i popielice na drzewie. Ale nie przypuszcza, że myśliwiec mógł z tak daleka zastrzelić jego przyjaciela łosia, który nikomu krzywdy nie zrobił i bawił się z Tumrym. Myśliwiec obejrzał łosia, otaksował jego wartość i udał się z powrotem wołać towarzyszy, aby pomogli zdjąć skórę i przemieść mięso do myśliwskiej chatki. Tumry pozostał przy trupie swego przyjaciela, aby go bronić od drapieżnych zwierząt i ptaków.

W kilka dni później Tumry wytropił drugiego łosia, mniejszego. I z tym rozegrała się taka sama scena ucieczki i pogoni i taki sam epilog płasów, bo myśliwiec korzysta ze skłonności do zabawy i z chwilowego zapomnienia się łosia, aby posłać mu śmiercionośną kulę. Ale nie wszystkie psy myśliwskie posiadają zalety niezbędne do takich łowów, bo nie wszystkie lubią zwierzęta i zbytki i nie wszystkie odznaczają się takim łagodnym usposobieniem i mają taki jak Tumry talent wzbudzania zaufania u ostrożnych łosi.

Owszem, takie psy są rzadkością. Dlatego Tumry stał się w tajdze sławnym i tej zimy opowiadali o nim jak o bohaterze chwili.

26. Polowanie na niedźwiedzia

Był późny wieczór listopadowy 1913 r. Od kilku tygodni zima ustaliła się na dobre, śnieg pokrywał ziemię, a od paru dni szalała silna zamieć, zwana na Syberji buranem lub purgą. Podczas takiego buranu ludzie niechętnie opuszczają domostwa, w szczególności w nocy, byłem przeto niepomiernie zdziwiony, gdy usłyszałem skrzypnięcie furty i czyjeś kroki na podwórzu.

Po chwili do izby weszli dwaj znajomi czałdoni. Ciekawy byłem, po co przyszli o tak niezwyklej porze, przypuszczałem, że mieli niecierpiący zwłoki interes. Ale czałdoni od razu go nie wyjawili, aby nie uchybić syberyjskiej etykiecie. Dopiero po dłuższej rozmowie dowiedziałem się, że przyszli do mnie z propozycją, abym wziął udział w polowaniu na niedźwiedzia.

– Wróciliśmy z tajgi. Nasze psy wytropiły zwierza.

– Winszuję – powiadam – za skórę dostaniecie z 50 rubli, a i sadło niedźwiedzie też coś warte.

– Tylko w tym jest sęk, jak go dostać. Nasze pojedynki to broń na zwierza niepewna. A i nas dwóch za mało na niego. Przyjechalismy po pomoc. Ty¹⁴ pan, masz dobrą dubeltówkę, a strzelasz dziennie. Sąsiedzi widzieli, jakeś bił w lot cietrzewie. Prosimy cię, jedź z nami do tajgi. Przy twojej pomocy na pewno będzie nasz.

Zamyśliłem się. Radbym spróbować szczęścia zmierzyć się z niedźwiedziem, ale z drugiej strony, przyznaję, bałem się. Słyszałem dużo opowiadań o tragicznych dla człowieka następstwach spotkania się z niedźwiedziem. Jest to przecież najgroźniejszy zwierz na Syberji. Czałdoni, choć odważni, unikają go. Nawet nie wymawiają jego imienia, aby nie powiedzieć „w złą godzinę”. Zamiast „niedźwiedź” używają wyrazów „zwierz” lub prosto „on”. Przypisują mu niebywałą siłę i nadprzyrodzone zmysły. Sądzą, że może z daleka usłyszeć swe imię i zjawić się niespodziewanie...

Przypomniał mi się sąsiad, stary Grisza, ze szramami na głowie, przeżywany niedźwiedzim ogryzkiem. Niedźwiedź rozszarpał jego psy i rzucił się na niego. Grisza dawaj uciekać. Niedaleko by uciekł, gdyby nie schował się pod zwałonym, olbrzymim drzewem. Niedźwiedź podrapał go, ale nie mógł dosięgnąć, bo Grisza czołgał się pod drzewem to na jedną, to na drugą stronę. Na szczęście towarzyszył

¹⁴ Między chłopstwem rosyjskim i syberyjskim jest przyjęte, że każdego „tykają”, tj. zwracają się przez „ty”, w drugiej osobie liczby pojedynczej.

Griszy, słysząc skomlenie psów, nadbiegł na pomoc ze swymi psami, które odpędziły niedźwiedzia daleko w las.

Nie uśmiechała mi się perspektywa być poszarpanym, jak Grisza, lub co gorsza, rozdartym, jak jego psy. Ale „żyłka myśliwska” ciągnęła mnie do lasu i nęciła niezwykłość przygody. Z drugiej strony obliczyłem, że opłaciliby się przywieźć z polowania kilka pudów mięsa niedźwiedziego. A mięso niedźwiedzie przecież bardzo smaczne.

Przystąpiłem na propozycję czajdonów. Umówiliśmy się, że wyjedziemy następnej nocy, a w razie zabicia niedźwiedzia skórę wezmą czajdoni, a mięso będzie moje. Barłóg, w którym spał wytropiony niedźwiedź, znajdował się w głębokiej tajdze, co najmniej 100 km od naszej wsi. W półtora dnia po wyjeździe stanęliśmy na miejscu. Część drogi jechaliśmy na saniach, ostatnie kilkanaście kilometrów przez trudne do przebycia ostępy – konno, krętymi ścieżkami, oznaczonymi zaciosami na drzewach.

W pewnym miejscu moi przewodnicy powiadają:

– To tu. Już blisko.

Pozsiadaliśmy z koni, przywiązali je do drzew. Opatrzyli strzelby, za pas zatknęli topory. I pobrnęli po śniegu piechotą. Czajdoni dźwigali po dwa potężne drągi.

Przeszedłszy kilkaset kroków, coraz wolniej i ostrożniej, chłopci pokazują mi barłóg, zalecając abym był gotów do strzału w razie pojawienia się niedźwiedzia. Miejsce pokryte było dość rzadkim lasem cedrowym. Cisza zalegała wokoło. Po trzydniowej zamieci wiatr ustał zupełnie, śnieg przestał padać, niebo zaczęło się wyjaśniać, mróz się wzmagał.

Stałem przy drzewku tak, aby mieć przed sobą jak największą pustą przestrzeń. O kilkanaście kroków, pod zwałonym, starym cedrem znajdował się barłóg. Byłznaczony, bo leżało na nim kilka świeżych gałązek.

Jeden z czajdonów wysuwa się naprzód. Po cichu, ostrożnie, ukradkiem, pochylony skrada się do barłogu. Dźwiga w rękach dwa drągi.

Zatrzymał się. Wyszeptał: „Hospodi, błogosław!”. Drągi ułożył na barłogu i ostrożnie wraca na dawne miejsce. Widać, jak jest zmęczony, ile wysiłku, ile przewyciężonego strachu kosztowała go ta robota.

Drugi czajdon z drągami w rękach zaczyna się podkradać. Ostrożnie ułożył drągi na krzyż na poprzednich i wraca z powrotem. Przechodząc obok mnie, szepcze:

– Pół roboty zrobione.

Za chwilę słysząc ścinanie drzewek. Czałdoni znowu niosą po dwa ogromne drągi i kładą je na barłogu. I znowu biorą się do ścinania nowych drągów, ale już w bliskości. Nie boją się już obudzić niedźwiedzia. Przyciśnięty drągami, zanim by się wygramolił z barłogu, niechybnie zginałby od naszych kul. Byłoby dość czasu na zmierzenie się i strzał.

Po krótkiej chwili na barłogu wznosi się duży stos drągów. Czałdon wycina niewielki kół, zaostrza go u dołu i wtyka pomiędzy drągi. Przebił warstwę mchu i wyczuł miękkie cielsko niedźwiedzia. Czemu prędzej kół odrzuca, kładzie lufę w otwór i strzela. Stos zatrzęsł się: widocznie raniony niedźwiedź poruszył się w barłogu. Nie tracąc, chwili drugi czałdon strzela w otwór ze swej strzelby. Z pod ziemi, z barłogu wydobywa się stłumiony głos, jakby jęk niedźwiedzia. Drągi poruszyły się. Ale niebawem nastąpiła cisza.

Stałem wciąż pod drzewem na dawnym miejscu z bronią gotową do strzału. Czałdoni nabijali swoje pojedynki.

– Nie rusza się, nie ryczy. Widocznie zabity – powiadają.

– Dla pewności warto jeszcze wystrzelić.

Kolej była na mnie. Zrobiono kołkiem nowy otwór między drągami, przytknąłem do niego lufę, pociągam za cyngiel. Rozlega się huk. Tysiącznem echem roznosi się po lesie, ale z barłogu nie wydobywa się żaden głos, nie słysząc tam życia. Nie ulega wątpliwości, że niedźwiedź nie żyje.

Zabiliśmy go. Raczej zamordowali. Zamordowali zdradziecko w śnie... Nie było mi przyjemnie. Nie czułem tryumfu zwycięzcy, raczej wstyd złoczyńcy...

Odszedłem na stronę.

Czałdoni odrzucili drągi, podnieśli warstwę mchu, którym był barłóg nakryty i wyciągnęli z niego niedźwiedzia. Był to młody samiec. Po obdarciu ze skóry i wypatroszeniu ważył około 70 kg.

Poćwiartowaliśmy go, rozłożyli mięso na śniegu, aby wyparowało i zamarzło, rozpalili ognisko, natopili śniegu i zagotowali herbatę. Zbliżał się wieczór, gdy czałdoni pożegnali mnie, udając się dalej w tajgę do swej chatki myśliwskiej.

Pozostałem sam jeden. Siwek zjadł swoją porcję owsa. Widocznie pić mu się chciało, ale wody nie miałem, aby go napić. Dorzuciłem dREW do ognia. Musiałem poczekać, aż księżyc wzbije się wysoko nad lasem. O zmroku bałem się puszczać w powrotną drogę, aby ścieżki nie zmylić.

Usiadłem przy ognisku. Zamyśliłem się. Przyznam, że nie było mi wesoło samemu wśród tego pustkowiec leśnego. Czułem się takim samotnym, biednym i opuszczonym... I tak małym, nędznym i bezsilnym wobec ogromu tajgi, Syberii i świata... Ogarnął mnie niezwykły niepokój i niezmierna tęsknota za ludźmi i za swymi bliskimi... Pragnąłem usłyszeć głos ludzki lub jakiegokolwiek bądź istoty. Cisza grobowa, majestatyczna, niepojęta, zalegała wokoło.

Siwek stał nieruchomo, drzemał. Wstałem od ogniska, okulbaczyłem konia, objuczyłem go mięsem niedźwiedzim, zarzuciłem strzelbę na ramię, topór zatknąłem za pas. Tymczasem zrobiło się widno, księżyc płynął wysoko po jasnym niebie. Wyprowadziłem siwka na ścieżkę, którą rano jechaliśmy w tę stronę, i puściłem go naprzód: sam szedłem z tyłu. Około północy dotarliśmy do „przystani”, gdzie stały moje sanie. Przystań była pusta, w chatkach myśliwskich żywej duszy nie było. Chatki – nie pozamykane. Przenocowałem w jednej z nich. Rano zaprzęgiłem konia do sań i pojechałem do domu.

Polowanie na niedźwiedzia przeważnie w opisany sposób się odbywało. Nie tak, jak w „Panu Tadeuszu”.

Słyszałem opowiadania, że mięso niedźwiedzie jest smaczne. Ale przeszło moje oczekiwanie, gdy go spróbowałem! Czem się w smaku od innego mięsa różni – trudno wypowiedzieć. Mięso wołowe, można by rzec, jest w porównaniu z nim cierpkie i twarde, wieprzowe – mdłe, cielęce lub królicze – słodkie, a niedźwiedzie – miękkie, słodkie, soczyste. Poprzerastane jest licznymi w różnych kierunkach słojami galaretowatych żyłek, które zdaje się, nadają mu właśnie tego, tak specjalnego a niezmiennie subtelnego smaku i miękkości. Zdaje się rozpywać w ustach, zjadać się można. I zjadałem się. Sam zjadłem niemal całego niedźwiedzia przywiezionego z tajgi. Starczyło go do Bożego Narodzenia. Żona moja jeść niedźwiedziny nie chciała. Gdy zobaczyła łeb niedźwiedzi odarty ze skóry, z długim pyskiem i sterczącymi kłami jak psia mordą, nabrała abominacji do mięsa. Łeb kazała wyrzucić na śmietnik.

Przednie łapy niedźwiedzia przezornie zostawiłem w tajdze. Bez skóry wyglądały wręcz wstrętnie, niczem ociekające krwią ręce ludzkie. Patrząc na nie nie mogłem. Obciąłem je i wyrzuciłem. Przeczucowałem, że żona, zobaczywszy je, kazałaby wyrzucić całego niedźwiedzia. A wtedy i bieda dałaby się nam bardzo we znaki.



Stefan Osuchowski, 14 sierpnia 1946 roku.
Źródło: archiwum rodzinne



Ausweis Stefana Osuchowskiego.

Źródło: archiwum rodzinne



Legitymacja Stowarzyszenia Byłych Więźniów Politycznych.

Źródło: archiwum rodzinne

Pirovskaje, dn. 3/16 VII 1909

Droga moje dziecko, kochana moja Zosiu!
 Nie od paru tygodni nie miałem żadnej o Was wiadomości i martwił się, przeto bardzo. Proszę Cię, pisać do mnie, jak dawniej, jak naj częściej, prosi o to sama Mamusia, a także i o to, aby przysłała mi swoje i Wasze fotografie. Pisz do Was na karcie brzozewej; chodząc po lesie, ratując, że troche Marysi tutaj, nie ma, to by się dopiero biegaty po lesie, gonitły ptaki i karczki katusiwi śmiały drzewa! Zapewne wiele drzew by się nam przydało! A drzewa się nie białą; każdemu wolno i ja przeto rabie drzewa, jakie mi spodobają, bez pozwolenia. Zrobiłem z brzozewej drzewko, trochę, z innego drzewa - stółek, z kłuski - podstawa pod kabanosy, trochę, kłuski, trochę, drzewo, drzewo i cukier-nica. Chciał mi sprzedać zrebaczka za 2 ruble. Myślałem sobie że go bym wziął; była Zosia, to bym dla niej konik kupił. Gdy nie miałem, przyjechał do mnie z Mamusia, bydlęta, trzy małe koniki, wółki, owce, krowy, koźki... Całuję Cię, kochane dziecko. Tęskni Stefan

ОТКРЫТОЕ ПИСЬМО.



Господину
 Стрелецкому
 Присланному 1009 Варенному
 в. Варшава.
 Геру севинская, А. № 35

Dla Task. doręczenia
 grzecznej panienci
 Zosie Osuchowskiej.





List na korze brzozewej pisany do córeczki Zosi z miejsca zesłania, Pirovskaje, Gubernia Jenisejska. Źródło: archiwum rodzinne